Nr 48 Poznań, Niedziela dnia 30 listopada 1913. Rok XVII.

PRACA

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 30 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego lub miejsca jego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy rabatu a mianowicie:
przy czteroraz. (miesięczn.) 15°/o
" kwartalnem 13 × " 25°/o
" półrocznem 26 × " 33⅓°/o
" rocznem 52 × " 50°/o
Ogłoszenia na zewnętrznych stronach okładki obliczamy po 40 fen. od wiersza bez rabatu. Telefon 3097.
Kto popadnie w konkurs. lub się pozwoli o należytość zaskarżyć, traci wszelkie prawo do rabatu.

Hurtownie! Detalicznie!

Mydła,

sody, mączki, świece, szczotki. 351

Wszelkie artykuły do prania i oświetlania w wyborowych gatunkach, po nizkich cenach

poleca

Centralna Drogerya

J. Czepczyński

Poznań.

Skład detaliczny: **Stary Rynek 8. Telefon 324.**

Magazyny hurtowne: **ulica Południowa 3. Telefon nr. 238.**

Poznań, ul. Rycerska 15.

Zakład leczniczy dla chorych

na nerwy i na cierpienia przewodu pokarmowego (przełyku, żołądka, kiszek, wątroby) **włącznie chorób przetwarzania się materyi** (otyłości, choroby cukrowej, podagry, bladaczki etc.) **w połączeniu z zakładem wodoleczniczym. Kuracye dyetyczne. Kąpiele elektryczne z prądem zmiennym i faradycznym. — Masaż wibracyjny elektr. i ręczny.** 39

Kąpiele elektryczne świetlane.

Kąpiele wszelkiego rodzaju. Gimnastyka szwedzka

Dr. Zakrzewski. Dr. Panieński.

Fortepiany - Harmonia

z pierwszorzędnych firm w najnowszych systemach. Fortepiany z wbudowanym automatem „**ESTRELLA**“ słynnym na świat cały, i inne poleca tanio a **rzetelnie** jedyny **polski** specyalny magazyn fortepianów

A. Drygas, św. Marcin 64

Warsztaty reparacyjne : Przebudowy
Strojenie : Wypożyczalnia.

Dla Pań, które mają siwe albo przyfarbowane włosy!

Nowy wynalazek Prof. Detsini'ego siwym i przyfarbowanym włosom wraca pierwotny kolor tak, że nikt nie pozna stucznego farbowania. Przez profesorów i lekarzy jako nieszkodliwy uznany.

Nieosięgnięta trwałość. Patent zameldowany.

Salon de Varsovie

właśc.: **ST. STYPCZYŃSKI** 389

POZNAŃ, ul. Fryderykowska narożnik Lipowe

TELEFON 2717.

Zaloż. 1880. **J. POPŁAWSKI,** Poznań, św. Marcin 26 I.

- poleca - najlepsze **Maszyny do szycia** pod długoletnią :: gwarancyą ::

Warsztat reparacyi.

ZAKŁAD PALENIA FALBAN I SUKIEN.

Przybory do oświetlania, petrol. gazu i okowity.

Lecznica ortopedyczna

Dr. Wierzejewskiego, Poznań, ul. Berlińska 10

b. l. asystenta zakładu dla kalek w Berlinie. LIFT!

Zakład med.-mechaniczny
Leczenie masażem i elektrycznością
Laboratoryum roentgenowskie
Własny warsztat ortopedyczny

387 Godziny przyjęć 3—5. Telefon 3440.

Na przeczyszczenie krwi

Laarmanna herbata z lasu Teutoburgskiego polecana od lat wielu, wzmacnia żołądek. W użyciu w licznych rodzinach, pijana przez tysiące regularnie. — Zanieczyszczona krew powoduje: **Reumatyzm, wyrzuty, czerwoną skórę, ostrą płeć hemoroidy, zatwardzenie, niepokoje żołądkowe, otyłość, liszaje i. t. p.** Paczka 1 i 2 Marki. Skład: **Görlitzer Apotheke, Berlin SO. 33, Görlitzer Str. 48**

Największe polskie przedsiębiorstwo

wiercenia studzień i fabryka pomp.



Wszelkiego rodzaju pompy ręczne **(w wielkim wyborze, kuto-żelazne)** do zapędu **koniem, parą, siłą motorową i elektryczną.** Wszelkie transmisye do pomp tanio i dokładnie wykonane. **Rury, łączniki** do rur wszelkiego rodzaju **wielki zapas** na składzie. **Wiercenie** studzień na własne **ryzyko** za dostateczną **ilość wody** do każdego zapotrzebowania.

J. Kopczyński & Co. — Poznań.

144 Telefon 2041.

ul. Półwiejska 20 (Halbdorfstrasse.)

Poznań, ul. Kohleisa 22, godz. przyjęć od 5—6 po poł. **Dyrekt. Heimann'a zakład przygotowawczy** Telefon 1961, **przyjmuje** do **rozmaitych** klas **wyższych zakładów naukowych** jak również przygotowuje do **jednorocz. służby prymanerów, abiturjenc. i wojskow. egzamin.** W ostatnim semestrze złoż. 90 proc. uczniów egzamin. Ściśle dozor. pensyonat. Łazienka, lekarz domowy. (W ostatnim roku posiadał zakład 75 proc. uczniów katol.) Illustr. prospekty gratis i franko. 379

Bank Związku Spółek Zarobkowych

Tow. akc.

Poznań, Wilhelmowska 26.

oraz

Filia w Toruniu,

Załatwiają wszelkie czynności w zakresie bankierstwa.

Przeprowadzamy mianowicie **konwersye, pożyczki landszaftowe i wszelkiego rodzaju regulacye hipoteczne**

oraz pośredniczymy na giełdach krajowych i zagranicznych **w zakupnie i sprzedaży listów zastawnych, rent, akcyi i t. d.** na dogodnych warunkach.

Dyskontujemy primaweksle, lombardujemy papiery wartośc., inkasujemy czeki i weksle.

Depozyty oprocent. na mocy osobnej umowy.

Otwieramy rachunki bieżące (contocorrente) i konta czekowe.

Uskuteczniamy wymianę obcych walorów i kuponów.

Ruble, korony, franki, liry itd. posiadamy stale do dyspozycyi.

Wydajemy czeki i listy kredytowe na wszelkie większe miejscowości całego świata.

Dokonujemy kontroli losowań i ubezpieczenia walorów na wylosowanie.

Wydzierżawiamy kasetki **(safes)** w naszych **ogniotrwałych skarbcach** na każdy dowolny czas za przystępną opłatą. 143

Biegły zecer

może się zaraz zgłosić.

Drukarnia „Pracy“

Poznań, Piekary 20/21.

Kasa Związku Ziemian

przyjmuje 80

depozyta i drobne oszczędności

począwszy od 1 marki i płaci

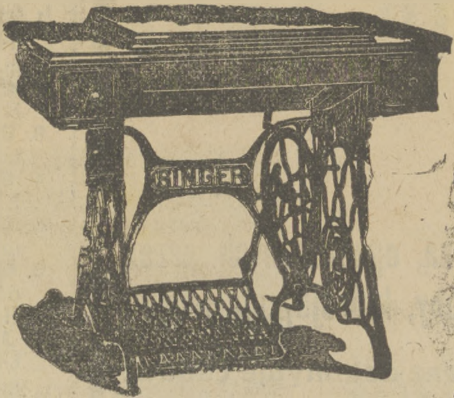
Za rocznem wypowiedzeniem	5%
„ półrocznem „	4½%
„ kwartalnem „	4¼%
Na każdorazowe żądanie	4%

Adres: **Poznań-Posen, plac Wilhelmowski 17, I.**

Telefon 1615.

Singer'a maszyny do szycia

są wzorowe
w konstrukcyi
i wykonaniu
i niezbędne
w każdym domu.



dostarczają nasze
wszelkie składy
w pojedyńczem
jak i najwięcej
eleganckiem wykonaniu salonów.

SINGER Co., Tow. akc. maszyn do szycia

Poznań, ul. Berlińska 16.
Chwaliszewo 76.



Jako specyalność polecam: 5

Matrapas 3		**10 sztuk**	**30 fen.**
Revue	w eleganckiem	**20** „	**80** „
Esprit	blasz. opakow.	**20** „	**1.— Mk.**

Jedyna jeneralna agentura i główny skład

S. Żychliński w Poznaniu

Cygara w największym wyborze.

Amatorom dobrych papierosów

zwracamy uwagę na **nowy papieros**

„Borys“

z rosyjską mieszanką

w cenie 20 fen. za 10 sztuk.

Fabryka papierosów **„Patria“** Ganowicz & Wlekliński T. A.

Wszędzie do nabycia!

Piece żelazne

Piece naftowe
Kuchenki żelazne
Kuchenki gazowe
Przedstawki do piecy
Pudła do węgli
Lampy kuchenne
Latarnie do powozu
Bańki do nafty
Bańki do nóg
Maty do nóg
Postumenty do parasoli
Powieszadła



Stary Rynek 79.

Łóżka żelazne
Łóżka wyściełane
Maszyny do prania
Magle domowe
Maszynki do chleba
Maszynki do mięsa
Wagi stołowe
Żelazka do prasowania
Kasetki do listów
Młynki do kawy
Kociołki do bielizny
Garnki itd.

Stefan Twardowski

Skład sprzętów kuchennych i domowych.

Dr. Antoni Seyda

Farbiarnia parowa i pralnia chemiczna

TELEFON 2990. **w Poznaniu.** TELEFON 2990.

Skład główny: ulica św. Marcina nr. 16/17.
Filje: Plac Sapieżyński nr. 5, ulica Długa nr. 12, ulica Szeroka nr. 16.
Fabryka i odbieralnia: ulica Forteczna nr. 39 (Jeżyce).

UWAGA: Zwracam na to uwagę, że na rzeczach przez agentury odbierane, powinna także być karteczka z ceną fabryczną. 369

274

Otworzyłem

klinikę dla kobiet

w Poznaniu

przy ul. św. Marcina 9/10 (obok kościoła)

Dr. Antoni Szac

dawn. pierwszy asyst. przy zakładzie naukowym dla akuszerek i klinice chorób kobiecych w Brunświku (tajn. radca Prof. Ehlers i Prof. Krukenberg) i były asystent Prof Strassmanna w Berlinie.

Patenty na wynalazki

we wszystkich krajach

Dr. Maryan Kryzan

rzecznik patent., inż. dypl.

Poznań, plac Wilhelmowski 8. Tel. 2650.

Cz. Andrzejewski, dentysta

były asystent i technik pierwszorzędnych zakładów dentystycznych w kraju i za granicą

ul. Wilhelmowska 14, I. Tel. 1435

Przyjmuje od godziny 9—1 i 3—6.



Tylko nowości!

Kapelusze • Krawaty • Rękawiczki
Bielizna • Trykotaże • Parasole • Laski

oraz **wszelkie artykuły męskie** polecają w wielkim wyborze.

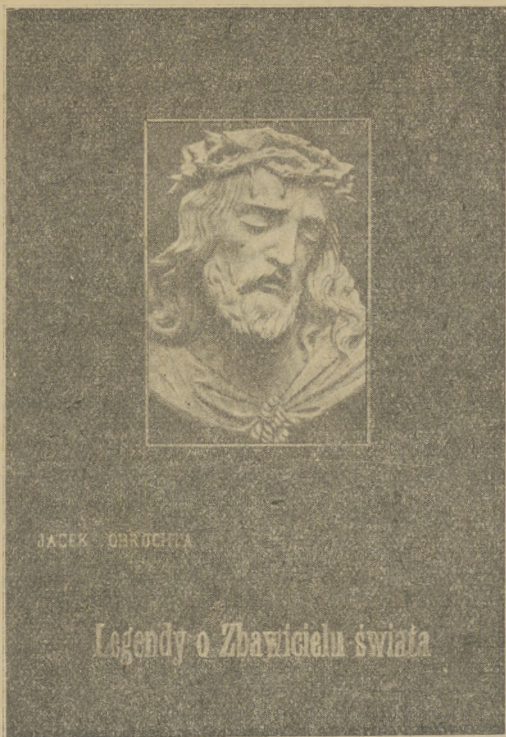
Fischbach & Sp.

właść. **J. Kostecka**

Poznań, Stary Rynek 55.



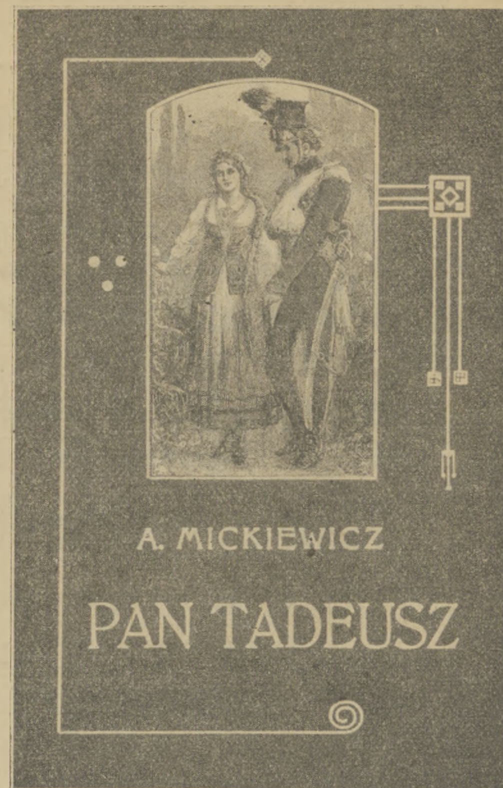
Wyjątkowa oferta gwiazdkowa!



Legendy o Zbawicielu Świata.

Prześliczna książka zawierająca 165 legend nabożnych, wierszem pisanych przez Jacka Obrochtę, z listem polecającym J. Em. Ks Arcybiskupa Teodorowicza. Stron 432 dużego formatu. 21 dużych przepięknych ilustracyi. Oprawa wspaniała. Zamiast 5 mk. tylko **3,50** mk na przesyłkę 30 fen. osobno.

Książki na gwiazdkę po cenie znacznie zniżonej.



Pan Tadeusz Adama Mickiewicza.

Najwspanialsze dzieło największego naszego poety, które każdy Polak znać powinien. Stron 309. Prześlicznych 26 ilustracyi Andriollego. Oprawa nader ozdobna. Zamiast 2 mk. tylko **1,50** mk. na przesyłkę 20 fen. osobno.



Dom Serca Jezusowego.

Czytania nabożne dla wszystkich stanów z 122 ilustracyami i 8 obrazkami kolorowemi. Napisał X. Franc. Ser. Mattler T. J., przetłomaczył X. Józef Stagraczyński. W pięknej, bogato złoconej oprawie. Stron 472 formatu dużego.
Zamiast 8 mk. tylko **5,00 mk.**, na przesyłkę 50 fen. osobno.

Książki wysyła się tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości i kosztów przesyłki.

Uprasza się podawać dokładny swój adres.
Zamówienia przyjmuje

Ekspedycya Pracy
Poznań, Piekary 20|21.

Nr. 48 Poznań, dnia 30 go listopada 1913. Rok XVII.

PRACA

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 2,— z odnoszeniem do domu . . . 2,12 pod opaską . . 3,50

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Piekary Nr. 20/21.
Telefon Nr. 3097.
OGŁOSZENIA: od wiersza drobnego 30 fen.

Tygodnik polityczny i literacki, illustrowany.

Prawa narodowe Polaków.

Znany publicysta niemiecki dr. Karol Jentsch ogłosił niedawno temu w „Zukunft" artykuł, w którym pomiędzy innemi zgodnie z prawdą oświadczył, iż na mocy proklamacyi Fryderyka Wilhelma III z d. 15 maja 1815 r. przyznano Polakom w Prusach pewne prawa narodowościowe i językowe, których to praw Polacy nie stracili, gdyż nigdy przeciw Prusom nie rewolucyonizowali.

Twierdzenie to spowodowało p. Cardinala v. Widdern do napisania obszernego artykułu w „Tägl. Rundschau," celem udowodnienia, iż Polacy właśnie prawa rzeczone utracili, że zatem nie mają podstawy powoływać się na cytowany przez Jentscha manifest okupacyjny.

Nie mamy zamiaru polemizować z wywodami hakatystycznego publicysty. Operuje on inną logiką jak wszyscy inni ludzie i inaczej interpretuje jasne i stwierdzone do syta fakty historyczne. Utrzymuje on, że Polacy przez udział w powstaniu z r. 1830 i przez ruchawkę r. 1848, a nadto przez odrzucenie ofiarowanych im przez Fryderyka Wilhelma IV „daleko idących koncesyj" stracili raz na zawsze wszelkie prawa do przyznanego im początkowo odrębnego stanowiska w państwie pruskiem. A nawet, gdyby kto chciał te powody uważać za niedostateczne, to — zdaniem jego — przedsięwzięte przez Polaków po r. 1870 podburzenie duchów na Śląsku Górnym i na Mazurach wystarczyło, by unicestwić wszelkie odrębne prawa Polaków w Prusach.

Dobrze, że p. v. Widdern tak tę kwestyę stawia, inaczej możnaby mu oczy wykłóć ogłoszonym r. 1867 — a więc po wszelkich powstaniach — manifestem prezesa naczelnego v. Horna, który nawołując Polaków, aby oświadczyli się za przyłączeniem Księstwa do związku północno-niemieckiego, w te się do Polaków odzywa słowa:

Idźcie za głosem waszego najmiłościwszego króla, którego ojcowskie zamiary dalekie są od tego, by żądać od was czegoś, coby waszej narodowości i waszym prawom uszczerbek przyniosło... I w związku północno-niemieckim pozostaniecie bez nagabywań Polakami, mówić będziecie waszym językiem, zatrzymacie wasze obyczaje, a Kościół katolicki jak dotąd cieszyć się będzie tą samą wolnością i tą samą opieką, jakich doznawał dotąd w pruskiej naszej ojczyźnie... Nie możecie i teraz nie pokładać waszego stałego zaufania w ojcowskiem sercu naszego ukochanego króla, które gorąco bije i dla poddanych swoich polskiego szczepu i w którem znajdziecie zawsze opiekę dla waszej narodowości i dla praw waszych....

Widzimy więc, że jakkolwiek w Prusach przedhakatystycznej doby skrócano nam prawa nasze, to jednak nie śmiano kwestyonować samegoż ich istnienia i to mimo powstań i mimo r. 1848.

Dopiero Bismarck odważył się oświadczyć, że powoływanie się na zaprzysiężone przez królów pruskich prawa nasze nie warte jest szeląga i odtąd dogmat ten wszedł do składu wiary politycznej hakatystycznej jego progenitury.

To jednak nie przeszkadza, że prawa te istnieją i że cały antypolski system jest niczem innem jak pogwałceniem tych praw zaprzysiężonych. Faktu tego nie zmienią żadne dowodzenia i żadne artykuły.

Wiemy dobrze, że na tym padole płaczu prawa tylko tak długo mają znaczenie póki ten, któremu one przysługują, rozporządza dostateczną siłą, by kontrahenta zmusić do ich przestrzegania. My tej siły nie mamy, przeto przeciwnicy nasi robią z nami co chcą i interpretują dotyczące nas punktacye i układy jak chcą. Oczywiście lepiej dla nas, że możemy się powołać na szereg przychylnych nam dokumentów, aniżeli gdyby ich wogóle nie było. Lecz ostatecznie nie dokumenty nas zbawią.

Mało ostatecznie znaczy, czy ten lub ów hakatysta uzna czy zakwestyonuje ich prawomocność. Główna rzecz w tem, że dokumenty te wyrażają prawa w każdej duszy ludzkiej niezatartemi wypisane głoskami, prawa Boże, których nie zmaże przenigdy ręka śmiertelna, prawa, które do czasu gwałcić można, lecz które prędzej czy później doczekają się uwydatnienia. Jest w świecie siła i gwałt — lecz jest także nierychliwa ręka sprawiedliwości Bożej. Gdyby było inaczej ży-

cie nie miałoby sensu i świat cały nie byłby niczem więcej jak nędzną farsą...

W moralnem uprawnieniu naszem do zachowania i rozwijania naszej narodowości tkwi zadatek niechybnego naszego zwycięstwa. To poczucie jest tą siłą, która mimo wszelkie przeciwieństwa, mimo wichry i burze wiedzie nasz okręt narodowy wśród kotłujących fal do bezpiecznej przystani.

Długo jeszcze może trwać czas próby, lecz kiedyś i nam lepsza zabłyśnie przyszłość; przesili się doktryna, która naucza, że rządy mają prawo przeistaczać narodowość swoich ludów jak zbankrutowała zasada cuius regio eius religio. I przyjdzie czas, że szczęśliwsze od nas pokolenia potomne patrzeć będą na dzieje smutnej naszej współczesności jak my spoglądamy na dzieje Polski z czasów poprzedzających panowanie Kaźmierza Odnowiciela.

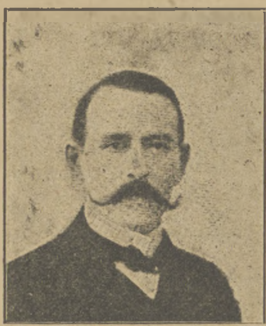
Sto, dwieście lat w życiu narodów — to epizod. Pracujmy, abyśmy się stali godni lepszej przyszłości.

Fermenty.

Tydzień ubiegły przyniósł sensacyjne zdarzenia, które na życiu politycznem Galicyi silnie się odbiją. Stapiński, długoletni prezes stronnictwa ludowego i jego dusza, zrezygnował z prezesury stronnictwa, prezesury klubu parlamentarnego i sejmowego ludowców. Powody tego kroku są dziś właściwie jeszcze tajemnicą. Coprawda Stapiński w swym organie ogłosił, że ustąpił dlatego, ponieważ zdradził go minister Długosz z kilku zaufanymi posłami, oddając się na łaskę kleru. Z drugiej strony donoszą te i owe pisma różne wiadomości, które wskazują na to, że istotnie powody rezygnacyi Stapińskiego były głębszej natury.

Bezpośrednim powodem tej rezygnacyi był fakt, że Stapiński, który kandydował z grona ludowców do delegacyi austryackiej, padł sromotnie, nie zyskawszy nawet od swego klubu głosów. Było to już wyraźne votum nieufności, dane swemu długoletniemu prezesowi, a powody musiały być niemałe, skoro klub zachował się tak prawie solidarnie wobec własnego wodza.

Z drugiej strony donoszą, że powodem rezygnacyi Stapińskiego było wykryte sprzysiężenie szeregu demokratów, którzy nie mogli doczekać się zmiany gabinetu, gdyż pilno im było do portfelu, a obawiając się, że twórcy reformy wyborczej, Leo, Korytowski, Długosz i inni wzmocnią swe stanowiska, gdy reforma do skutku dojdzie, usiłowali przed czasem ich obalić, aby wyprowadzić swoich: Stapińskiego, Germana, Zgórskiego, Bobrzyńskiego na widownię dziejową. Sprzysiężenie odkryto wczas i zamysły upadły, a główny inicyator tego sprzysiężenia Stapiński, dla którego Długosz już jest niesympatyczny, padł ofiarą. Plan ten miał wykonać Stapiński przy wyborze delegacyi, przy pomocy Ukraińców i socyalistów. Do iście takiej piekielnej machinacyi zdolny mógł być tylko Stapiński, nie liczący się nigdy z dobrem społeczeństwa, lecz własne mając interesy na oku, oraz poseł German, tęskniący bez przerwy do teki ministeryalnej, to wątpliwości żadnej nie ulega. Ale gdy pomyślimy naprawdę, że gdyby właśni najbliżsi towarzysze Stapińskiego nie byli zawiedli i gdyby jego zamysły się spełniły, coby się stało wtedy z Kołem Pol-



Jan Stapiński.

skiem, coby było z polityką polską we Wiedniu, to naprawdę przejmuje grozą, a zarazem zdziwienie ogarnia, że tacy ludzie nie tylko tam w parlamencie reprezentują nasz kraj, ale jeszcze wybiwszy się na czoło, nawą polityki narodowej na obcym gruncie sterują. Na szczęście z ulgą pewną przychodzi nam stwierdzić, że jeszcze sporo ludzi uczciwych jest w Kole, skoro na lep prywaty iść nie chcieli, a nawet pośród samego stronnictwa ludowego znalazła się większość, która wolała wypowiedzieć posłuszeństwo partyjne wodzowi, aniżeli dopuszczać się takiej zbrodni na forum obcem, handlując zaufaniem przez wyborców im przekazanem. I oto dziś czytamy, że stronnictwo ludowe, a raczej jego obecni kierownicy odpierają napaści rzucane przez Stapińskiego na innych, za zaszłe wypadki, a obwiniają go otwarcie, że usunął się od konferencyj ministeryalnych w sprawie reformy wyborczej, gdyż już przedtem podpisał pakt z trzema innymi klubami w sprawie projektu reformy, który niesłychanie krzywdzi lud polski. Są to oskarżenia wyszłe od towarzyszy partyjnych; oskarżenia wszakże są niezwykle ciężkie i przekreślające za jednym zamachem całą działalność Stapińskiego, z czego Koło Polskie musi wyciągnąć konsekwencye. Atmosfera wiedeńska musi uledz zmianie i przeczyszczeniu, idzie o to, czy Koło obecnie będzie miało na tyle siły i mocy. Już dzisiaj widać pewną konsternacyę i niepewność w prasie, zupełny spokój w Kole wskazuje, że ludzie nie zdają sobie jeszcze sprawy z minionych wypadków. Jednak z tych wszystkich przejść oby jeden tylko był wynik: aby Koło usunąwszy na bok i wyeliminowawszy z Koła raz na zawsze to wszystko, co dąży stale do obniżenia naszej powagi na terenie polityki wiedeńskiej, stało się jak najprędzej z powrotem poważnem przedstawicielstwem naszego narodu w zaborze austryackim.

Ksiądz polski w chlewie.

Gazety centrowe, a przedewszystkiem wychodząca we Wrocławiu „Schles. Volkszeitung" oskarżają prasę polską o to, że ta w sposób rzekomo niekatolicki napada na księży niemieckich, a nawet wobec niemieckich władz kościelnych pozwala sobie na krytykę niewłaściwą. Niedawno temu słyszeliśmy takie skargi z ust pana Bachema, jednego z filarów centrowych w Nadrenii. Zagrożono nam nawet, że partya centrowa będzie musiała zrewidować swe stanowisko polityczne wobec Polaków, jeżeli prasa polska swego zachowania nie zmieni. Centrowcy chcieliby, abyśmy księży niemieckich wogóle nie krytykowali. Milczeć mamy, jeżeli np. ks. Rassek kruszy kopie za niemiecką nauką religii nie tylko w szkołach, lecz nawet w nauce przygotowawczej do Sakramentów świętych, jeżeli ks. Feja w protestanckim „Tagu" atakuje ruch polski, a nawet biskupów polskich szkaluje, jeżeli niektórzy księża centrowi uczęszczają na zabawy hakatystyczne i angażują się przy wyborach na korzyść miszmaszu hakatystyczno-liberalnego, jeżeli zaprowadzają nabożeństwa niemieckie, jeżeli wzbraniają się chrztów i ślubów udzielać w języku ojczystym, jeżeli nawet w kościołach, które w znacznej mierze powstanie swe zawdzięczają ofiarności ludu polskiego, wbrew przyrzeczeniom nie pozwalają na nabożeństwa i śpiewy polskie, jeżeli na pogrzebach i procesyach wykluczają chorągwie towarzystw polskich itd.

Może być, że zachodzą przypadki, że ta lub owa gazeta przeholuje w tonie. Lecz często postępowanie księży niemieckich wobec Polaków jest tak dalece prowokacyjne, iż dziwić się nie można, że krytyka nie zawsze trzyma się granic właściwych.

Mianowicie w dyecezyi wrocławskiej powodu do skarg nie brak.

Wiadoma, jak tam władza kościelna czuwa nad polityczną prawomyślnością swych księży. Niechaj tylko który kleryk lub wikaryusz okaże jakiekolwiek sympatye dla ruchu polskiego, niechaj tylko jawnie przyzna się do polskości, a broń Boże, się politycznie „skompromituje" — natychmiast wyślą go na piaski brandenburskie i wskażą na długoletnią tułaczkę pomiędzy obcymi...

Jako klasyczny przykład w tej mierze służyć mogą bolesne dzieje ks. Skiby. Całą przewiną tego zacnego i czcigodnego kapłana jest to, że czuje się Polakiem. Podczas gdy inni rówieśni mu konfratrzy już dawno cieszą się tłustemi beneficyami, ks. Skiba od lat 16 przerzucanym bywa z miejsca na miejsce. Ostatnio posłano go jako wikaryusza do Kośla, miejscowości położonej na samym skraju Śląska do parafii — ma się rozumieć — czysto niemieckiej. A gdy kapłan-tułacz stanął przed swym proboszczem i zapytał, gdzie ma złożyć swoje meble, otrzymał odpowiedź: we chlewach!

Tak otóż obchodzą się niektórzy proboszczowie niemieccy z swymi wikaryuszami Polakami! Gdy jednak gazeta polska napisze o tych sprawach i napiętnuje takie postępowanie jak należy, natenczas blaty centrowe podnoszą przeraźliwe larum.

Przyczyny wybuchu powstania listopadowego.

(Dokończenie.)

Jeszcze za panowania Augusta III założono w Warszawie pierwsze loże wolnomularskie, mające styczność z dworem saskim, a przystosowane do potrzeb Polski. Później powstały loże urządzone na sposób francuski. Wolnomularstwo miało na celu umoralnienie tak swoich członków jak i całego społeczeństwa, kształcenie się w naukach. Była to kuźnia charakterów, często jednak używana w celach politycznych. Pierwsza loża wybitnie polska była otwarta w roku 1784, lecz po trzecim rozbiorze, w roku 1795 upadła masonerya zupełnie. Do loży należało wielu wybitnych Polaków, należał do niej także król Stanisław Poniatowski, miała ona duży wpływ na utworzenie Konstytucyi majowej. W roku 1810 utworzono Wielki Wschód Narodowy Polski, był to najświetniejszy okres związku, należeli bowiem wówczas do wolnomularzy tacy ludzie jak ks. Józef Poniatowski, Potoccy, Ignacy Sobolewski, Brodziński, Koźmian i inni. Rozwojowi wolnomularstwa przeszkodził upadek Napoleona, podnosi się ono w roku 1814, a w r. 1815 odbyło się trzecie wznowienie Wielkiego Wschodu Narodowego polskiego pod protekcyą cara Aleksandra, który pragnął zużytkować masonerye do swoich celów, subwencyonował więc kasę wolnomularską i pragnął związek upaństwowić. Między innymi wszedł do loży jako członek Aleksander Rożniecki, szpieg i prawa ręka Nowosilcowa, pracujący nad opanowaniem masoneryi przez rząd, ażeby Nowosilcow mógł ją później zgnieść i obłowić się jej majątkiem. Powodowano różne niesnaski, ażeby tem Aleksandra jak najgorzej dla Polski usposobić. Wskutek intryg został Rożniecki wielkim mistrzem i zaczął po swojemu gospodarować, gwałcąc wszystkie prawa. Masoni udali się o pomoc do Aleksandra, ale był już reakcyonistą, nie udzielił im więc pomocy i w roku 1821 zniesiono Wielki Wschód polski urzędownie, a majątek zabrał sobie Nowosilcow. Profesor Askenazy pisze: „Niemasz podobno na świecie narodu, który miałby mniej pociągu, mniej talentu do czynności spiskowych, aniżeli naród polski. Narody wolne nie znają związków tajnych we właściwem znaczeniu słowa. To jest klątwa narodów jarzmionych. To jest trucizna, którą jadem samozachowawczym nieci z siebie samorzutnie ustrój narodowy, toczony chorobą." Polacy nie tworzyli dotychczas żadnych tajnych związków, wolnomularstwo było usankcyonowane, dopiero za czasów Królestwa Kongresowego, którego historya jest historyą wykroczeń rządu przeciwko ustawie konstytucyjnej, zaczęły się różne związki o charakterze konspiracyjnym. Spiski tajne nie pociągały tylko starszych, lecz także młodzież, najwięcej wrażliwą na niedolę i niesprawiedliwość. Pierwsze związki młodzieży spotykamy na Litwie i to w Wilnie pomiędzy studentami. W roku 1817 mamy związek Filaretów, do którego należy między innymi Adam Mickiewicz. W r. 1819 założył Tomasz Zan, członek loży wileńskiej, między uczniami uniwersytetu towarzystwo moralne, patryotyczne i naukowe, którego członkom nadał tytuł Promienistych. Obowiązkiem członków towarzystwa było braterstwo, zamiłowanie nauki, równość i uczynność. Nad temi związkami roztaczał opiekę tajny związek Filaretów, którego pierwszym warunkiem była niepodległość ojczyzny. Do pierwszych organizacyj tajnych młodzieży w Królestwie należał utworzony w r. 1820 związek pod nazwą Wolnych Braci Polaków. Przyjmowanie do tego związku odbywało się z wszelkiemi ostrożnościami. Każdy z wstępujących musiał składać przysięgę, że tajemnicy dochowa, cała ceremonia przyjęcia była bardzo uroczysta i nastrojowa. Do związków tych należała młodzież szlachetna, pełna zapału, gotowa każdej chwili życie dla sprawy oddać.

W literaturze budziły się nowe prądy, Mickiewicz wydał swojego „Konrada Wallenroda" i „Odę do młodości", która w sercach i umysłach młodzieży zapalała miłość ideałów, gorący patryotyzm ,chęć czynu i wiarę w swoje siły. Nie bez silnego wrażenia przeszły płomienne poematy Malczewskiego, Zaleskiego, Goszczyńskiego i innych. Najwięcej zapału zdołał wzbudzić w Warszawie młody krytyk Maurycy Mochnacki. Artykuły jego tchnęły wielkim entuzyazmem, wiarą w jasną przyszłość narodu, zupełnem oddaniem się na usługi ojczyzny. Był to człowiek, którego najwyższem i jedynem ukochaniem była ojczyzna, charakter kryształowy, umysł głęboki i jasny.

Jeszcze w roku 1819 utworzono związek Wolnomularstwa Narodowego, do którego należeli tylko wojskowi i masoni, był to legalny związek w łączności z Wielkim Wschodem, lecz działalność jego rozciągała się tylko na Polskę i dążyła do niepodległości. Organizacya ta została rozwiązaną w r. 1820. Twórcą Wolnomularstwa Narodowego był Waleryan Łukasiński, major czwartego pułku liniowego, człowiek wykształcony, dzielny, nieskazitelnego charakteru i zdolny żołnierz, a cały przeniknięty myślą o odbudowaniu ojczyzny. Nie szło mu jednak o urządzenie powstania w czasie najbliższym, lecz o przygotowanie narodu a głównie młodzieży do czynu, skoro tylko stosowna ku temu nadejdzie pora. Rozwiązanie Wolnomularstwa Narodowego było tylko pozornem, człowiek tej miary co Łukasiński nie opuszczał rozpoczętego dzieła, z dawnej legalnej organizacyi utworzył on w r. 1821 nowy tajny związek, Towarzystwo Patryoty-

czne, do którego przyjmowano tylko ludzi bardzo zaufanych. Związek ten rozszerzył się na wszystkie ziemie Polski, miał członków w Królestwie, na Litwie, Wołyniu, Podolu, w Galicyi, w Krakowie i w W. Ks. Poznańskiem; należały do niego wszystkie szlachetne duchy armii polskiej. Pomimo wielkich ostrożności wyśledzono spisek i to z powodu Karskiego, spiskowca, który zdradził, a tem samem naraził cały spisek na straszne prześladowania. W r. 1822 został aresztowany Łukasiński, oskarżony o zbrodnię stanu. Dwa lata dręczono go najstraszliwiej, używano wszelkich piekielnych sposobów, ażeby zmusić go do wydania towarzyszy, lecz Łukasiński milczał jak grób. Tak samo dręczono i jego towarzyszy, w końcu oddano ich pod sąd wojenny W. Ks. Konstantego. Konstanty skazał w roku 1824 Łukasińskiego na 10 lat ciężkiego więzienia, towarzyszy jego Dobrogojskiego i Dobrzyckiego na lat sześć. Kara taka nie wystarczała jeszcze Konstantemu, nakazał on egzekucyę publiczną. Za rogatkami powązkowskiemi zebrało się całe wojsko i tłum ludzi, furgony przywiozły skazańców ubranych w mundury galowe. Przeprowadzono ich wśród obnażonych pałaszów żandarmskich i odczytano wyrok, potem zdarto im szlify i ordery, odebrano szpady i złamano nad głowami. Katowscy pomocnicy zerwali więźniom mundury, ubrali ich w siermięgi, zgolili im głowy, a nałożywszy skazańcom kajdany, przykuto ich do taczek napełnionych gruzem i tak rozkazano przejść przed wojskiem. Pierwszy szedł Łukasiński z hardo podniesioną głową, w wojsku i tłumie patrzącym na to upokorzenie rozległ się szloch, który zagłuszył bębny. W. Książę chciał tym strasznym przykładem odstraszyć naród od spisków, tymczasem stało się przeciwnie, Łukasiński został bohaterem narodowym, a tajne organizacye rozszerzyły się i rosły w coraz większą siłę. Towarzystwo Patryotyczne rozwijało się pod sterem Krzyżanowskiego, Plichty i Alberta Grzymały, a myśl o powstaniu, o zrzuceniu znienawidzonego jarzma nurtowała coraz głębiej. Nowosilcow odkrył związek Wolnych Braci Polaków, klasztor Karmelitów na Lesznie zapełniał się ciągle nowemi ofiarami, wśród których znajdował się także Mochnacki, a Nowosilcow, spragniony ciągle nowych prześladowań, udał się na Litwę, ażeby tam tępić „buntowników", aresztować, śledzić, wywozić na Sybir. Działalność jego na Litwie odzwierciedla nam najlepiej Mickiewicz w trzeciej części „Dziadów".

Był jeden dygnitarz polski w Królestwie, który mógł się był przyczynić do polepszenia stosunków w państwie, miał bowiem wielki wpływ na dworze petersburskim; nawet W. Ks. Konstanty i Nowosilcow ulegali mu. Człowiekiem tym był minister skarbu książę Ksawery Lubecki, człowiek energiczny i rzutki, lecz energię swoją używał tylko na to, ażeby skarb napełnić. Wprawdzie rozwijała się strona gospodarcza w Królestwie bardzo pomyślnie, Lubecki założył Towarzystwo Kredytowe Ziemskie i Bank Polski, które popierały przemysł i rolnictwo. Minister był człowiekiem, który w Polskę nie wierzył, często lekceważył konstytucyę, a szczęście Polski widział w ścisłem przymierzu z Rosyą.

Aleksander umarł w r. 1825, przed śmiercią swoją był jeszcze na Sejmie w Warszawie, z którego spokojnego przebiegu był zupełnie zadowolony. Następcą jego został Mikołaj, zaprzysiągł wprawdzie konstytucyę, lecz nie taił swojego despotyzmu. Po śmierci Zajączka w r. 1826 nie ustanowił nowego namiestnika i oddał władzę Radzie Administracyjnej. Rusyfikował Litwę, temsamem odbierał nadzieję odbudowania Polski, a gdy śledztwa naprowadziły policyę na ślad tajnych towarzystw, prześladował je strasznie. Za sprawą Konstantego i Nowosilcowa napełniły się więzienia, kraj cały drżał na myśl o nowym sądzie wojennym, którego pragnął Nowosilcow dla spiskowców, lecz tym razem sprzeciwił mu się książę Lubecki i zażądał w myśl konstytucyi sądu sejmowego, a że miał wielkie wpływy w Petersburgu, więc zwyciężył. Sąd zebrał się dnia 19-go kwietnia 1827 r. pod przewodnictwem Piotra Bielińskiego. Cały naród oczekiwał z zaniepokojeniem wyroku sądu, który miał orzec, kto zwycięży, czy Wielki Książę Konstanty i Nowosilcow, czy też spiskowcy. Sąd wydał wyrok orzekający, że spiskowi nie popełnili zbrodni stanu, cała ich wina w tem, że zakładali zabronione towarzystwa. Podsądni zostali skazani na 2—3 miesięcy więzienia, tylko Krzyżanowski poniósł srozszą karę. O sądzie tym pisze Maurycy Mochnacki: „Sejm ten wyrokiem swoim dowiódł, że kiedy jedni Polacy zamierzają wszystkie części swej rozerwanej ojczyzny spoić w jedną całość, drudzy Polacy tego zamiaru nie mogą w żaden sposób nazwać zbrodnią stanu". Mikołaj jednakże zgwałcił konstytucyę, nie pozwolił opublikować wyroku, a podsądnych kazał odstawić do Petersburga.

Mochnacki określił Królestwo następującemi słowy: „Zdala ladaco świeci, ale blichtr do ręku wzięty, jeśli mu się bliżej przypatrzymy, znika. Takim blichtrem było Królestwo Polskie, nie tylko pod względem konstytucyjnym, lecz zarazem przemysłowym, handlowym i ekonomicznym". Cesarz i pełnomocnicy jego deptali zagwarantowaną konstytucyę, nad wojskiem znęcał się Konstanty, życie umysłowe gnębiono na każdym kroku, kraj ubożał podatkami, które wzbogacały Rosyę i Prusy. Położenie Królestwa było straszne, nieszczęście wywołało gorzki żal za zmarnowaną przeszłością, za czasami wolności i niepodległości, zaczęły się coraz silniej ujawniać zamiary dźwigniącia z niedoli, rozpoczęcia nowego życia. Pod wpływem represyi i prześladowań naród dojrzał duchowo, nowa literatura romantyczna wyzwalała myśl narodową, kazała „zestrzelić myśli i serca w jedno ognisko", które pałało żądzą oswobodzenia kraju od dręczącej go tyranii. Ruch spiskowy ogarniał coraz szersze sfery ludności, wyrastał nawet tuż pod okiem W. Księcia.

W. Książę Konstanty utworzył szkołę podchorążych dla młodych podoficerów, odznaczających się dzielnością i roztropnością. Szkoła ta mieściła się w jednej z oficyn pałacu łazienkowskiego, naród uważał podchorążych za pupilów Konstantego i nie przypisywał im żadnych wznioślejszych uczuć. Podejrzliwy Konstanty ufał im zupełnie i ani domyślał się, że stąd miał wybuchnąć pożar ogarniający cały naród, że młodzież ta pałała gorącem uczuciem patryotycznem, sposobiła się do czynu i radziła nad sposobem wywołania powstania. Marzenia młodzieży stały się konkretniejszemi, gdy w grudniu r. 1828 Piotr Wysocki, porucznik grenadyerów gwardyi i instruktor w szkole podchorążych, utworzył tajne sprzysiężenie, nazwane spiskiem podchorążych. Wysocki posiadał duszę uczciwą, płomienną, gotową do poświęceń, „rozumem jego była miłość ojczyzny", lecz nie umiał określić sobie jasno drogi działania, nie umiał przygotować i przewidzieć następstw. Spisek rósł z dniem każdym w potęgę; oprócz wojskowych przystępowało do niego dużo osób cywilnych, między innymi Seweryn Goszczyński, Ludwik Nabielak i Maurycy Mochnacki. W Mochnackim zyskał Wysocki umysł rzutki, oryentujący się doskonale, mogący mu służyć dobremi radami. Mochnacki żądał utworzenia przed wybuchem powstania rządu rewolucyjnego. Wysocki pragnął uzyskać do tego celu znane osobistości, które pozostały niezdecydowane, a Mochnacki naglił i radził, ażeby wybrać do rządu dzielnych i energicznych spiskowców, na co Wysocki nie mógł się zgodzić. Argumenty Mochnackiego nie trafiały do jego przekonania; Mochnacki ufał entuzyazmowi młodzieńczemu, Wysocki doświadczeniu. Zdaniem Mochnackiego wtenczas będzie nadzieja zwycięstwa,

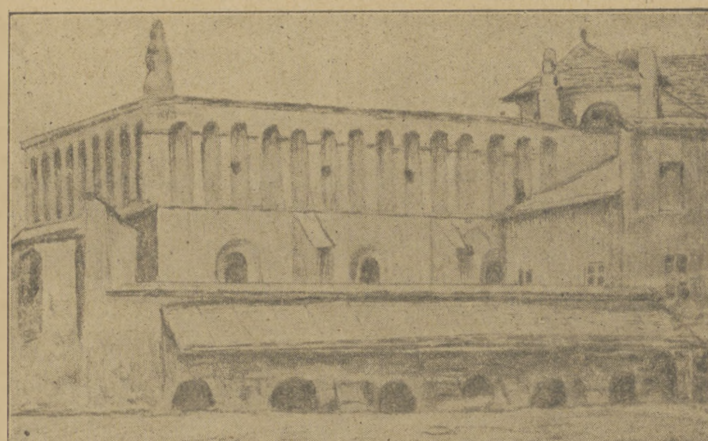
gdy terenem wojny nie będzie tylko Królestwo, lecz raczej i koniecznie kraje za Bugiem, a więc Litwa i Wołyń. Radził poruszyć wielkie masy ludowe, nazywał to pierwszą maksymą narodowego powstania, klęski dawniej poniesione przypisywał nieumiejętności, albo niechęci poruszenia ludu. Pragnął on nie tylko restauracyi terytoryalnej, ale także rewolucyi społecznej, którą to rewolucyę już w czasie walki przeprowadzić projektował.

Podczas koronacyi Mikołaja w Warszawie r. 1829 projektowano zamach poprzedzający powstanie, projekt ten upadł i do powstania nie doszło. Roku 1830 zjechał Mikołaj ponownie do Warszawy, ażeby przewodniczyć sejmowi, gdy jednak jeden z posłów zaprotestował przeciw wstrzymaniu publikacyi sądu sejmowego, Mikołaj sejm zamknął, opuścił gniewny Warszawę z silnem postanowieniem zawieszenia konstytucyi. Było to nowym ciosem dla narodu, a zwłaszcza dla spiskujących, nalegali więc na Wysockiego, ażeby z wybuchem powstania nie zwlekał. Serca biły gorąco, zapał gorący ogarniał naród, czuł on się niezwyciężonym, nieprzełamanym. Miara krzywd wyrządzonych Polsce dopełniła się, naród pragnął walki, która wolność ze sobą przynieść miała.

Warszawa zaczęła mówić głośno o rewolucyi. Nowosilcow zdawał sobie doskonale sprawę z wszystkiego, przeczuwał, co go wtenczas spotkać może, wyjechał więc z Warszawy, za nim podążył Szaniawski. Konstanty otrzymywał donosy, ale nie wierzył im, za bardzo ufał podchorążym, kazał nawet uwolnić Wysockiego i kilku podchorążych znajdujących się w śledztwie. Stan był groźny, Konstanty mógł każdej chwili wpaść na ślad spisku, trzeba więc było spieszyć się z rozpoczęciem dzieła. Wtajemniczeni uchwalili dzień 29-go listopada na wybuch powstania, o godz. 6-ej z wieczora miały wezwać spiskowców do dzieła łuny pożarne na Solcu i Nowolipiu.

Mochnacki, naoczny świadek, biorący gorący udział w życiu spiskowem, mówi, że „nigdy Polska tak potężną nie była, jak na dniu 29-go listopada, nigdy bowiem energia ducha publicznego w całym narodzie, we wszystkich częściach kraju, do takiego stopnia nie dochodziła". A mieliśmy wszystkie realne dane do tego, ażeby powstanie się udało. Rosya była wówczas osłabiona wyprawami tureckiemi, perskiemi i kaukaskiemi, a także panującą cholerą. Wojsko jej zaledwie 200 tysięczne było rozsypane po całym kraju, potrzebny był więc pewien przeciąg czasu, ażeby wojsko to zebrać i do Polski wprowadzić, z czasu tego mogli skorzystać powstańcy. W Królestwie było wojska czynnego przeszło 30 tysięcy, do 25 tysięcy dymisyowanego żołnierza, a wszystko wyszkolone doskonale przez Konstantego. W Królestwie było według ksiąg superrewizyjnej komisyi w Warszawie ludzi zdatnych do boju 246 tysięcy. Arsenał warszawski był bogato zaopatrzony, znajdowało się w nim 36 tysięcy karabinów i 11 tysięcy pałaszy dla wojska. Oprócz tego były w Królestwie dwie silne twierdze, Modlin i Zamość, obficie w proch i amunicyę zaopatrzone. Z tem wojskiem i zasobami można było kraj z przepaści dźwignąć i sprawie szczęśliwy koniec zapewnić. Lecz brakowało powstaniu organizacyi, był entuzyazm młodzieży, mogący cudów dokonać, naród jej nie ufał, pragnął ludzi doświadczonych, którzy w powodzenie sprawy uwierzyć nie chcieli i to było tragedyą rewolucyi listopadowej.

Helena Golischówna.



Stara synagoga na Kazimierzu w Krakowie.

Stara Bóżnica na Kazimierzu.

Gmina żydowska na Kazimierzu jest jedną z najstarszych w Polsce. Kazimierz, niegdyś samodzielne miasto, założony został przez Kazimierza Wielkiego. W obecnych czasach stanowi ósmą dzielnicę Krakowa, do którego został przyłączony.

Kazimierz stał się miastem żydowskiem, gdy w r. 1495 nakazano żydom krakowskim opuścić Kraków, a zamieszkać na Kazimierzu. Polska była w średnich wiekach jedynym krajem, z którego nie wypędzano żydów. Zresztą losy Izraela były na całej ziemi jednakie, nienawiść religijna i ekonomiczna wyrzucały w ciągu wieków masy żydów od granic Francyi po przez Niemcy do Polski, by ich tutaj skupić na niezbyt długim obszarze.

W Polsce sprawiedliwa władza królewska i poparcie szlachty były ostoją żydów, o nią oparci, urządzali się na tej ziemi w granicach możliwości wygodnie i dostatnio.

Między królami Polski nie znalazł się żaden, któryby, jak cesarz Karol VI, sprzedał żydów za obfitą opłatę tłumowi miejskiemu, lub jak Albrecht V, który na oskarżenie jednej kobiety wszystkich żydów wiedeńskich spalił na stosie. W wieku piętnastym wypędzono żydów ze wszystkich prawie miast niemieckich, w 13-tym z Anglii, z Francyi, w 14-tym, z Hiszpanii i Portugalii w 15-tym. W Polsce znaleźli żydzi drugą ojczyznę, opiekę prawną, byt materyalny.

Już w średniowieczu stworzyli żydzi w Krakowie handel na wielką skalę i otrzymali przywilej, sądy żydowskie, wojewódzkie i kahalne.

Mieszczanie krakowscy dążyli do usunięcia żydów, którzy im odbierali cały handel i oni to widząc niebezpieczeństwo, jakie im groziło z ciągle napływającego żywiołu żydowskiego, doprowadzili króla do ukazu z r. 1495, zabraniającego żydom mieszkać w Krakowie. Ukaz ten, przeprowadzony został za pośrednictwem dwóch znakomitych ludzi owego czasu, historyka Długosza, nauczyciela synów królewskich Kazimierza Jagiellończyka, i Zbigniewa Oleśnickiego, kardynała.

Z bólem serca opuścili żydzi Kraków i starali się pomieścić w ciasnych murach Kazimierza. I tu rozpoczęli walkę z mieszczanami Kazimierskimi. Mieszczanie chcieli dla siebie zatrzymać różne gałęzie handlu i cały przemysł. Żydzi dążyli do wolnego handlu i wykonywania rękodzieł.

W Kazimierzu utworzyli rzeczpospolitą żydowską.

Tu wznosi się najstarsza ich bóżnica, zapadająca się w ziemię pod ciężarem wieków. Po stopniach zstępuje się na dół, by dotrzeć do jej wnętrza.

Malowniczo przedstawia się piękny, starodawny budynek, a przylegająca ulica Szeroka przypomina Stare Miasto w Warszawie. Wokół na ulicy Józefa wznoszą się domki starodawne, jakby z średnich wieków przeniesione.

Gdyby można usunąć brud i zaniedbanie w otaczających ulicach, to stara, Kazimierzowska synagoga i domki malownicze utworzyłyby całość godną pędzla malarza, a zakątek ten byłby ozdobą miasta Krakowa.

Niestety nędza i zaniedbanie toczą tę dzielnicę, zamieszkałą, jak przed wiekami, przez ludność żydowską najuboższą.

I synagoga podpadała zniszczeniu i ruinie, więc powierzono odnowienie jej architekcie Zygmuntowi Hendlowi, kierownikowi odbudowy Wawelu, zasłużonemu badaczowi historyi sztuki.

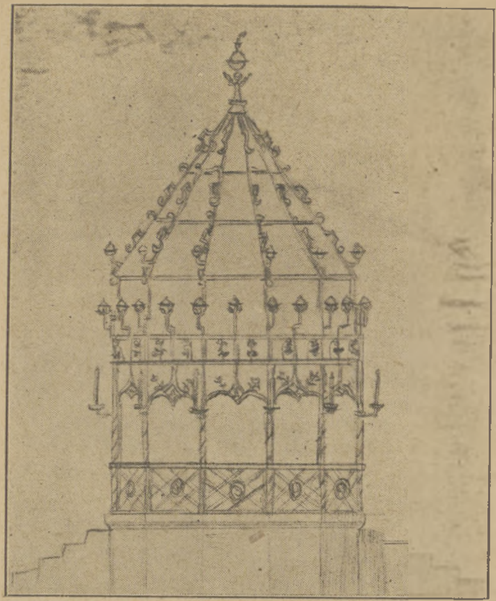
Ze względu na brak funduszy restauracya potrwa lat kilka, by z całym pietyzmem odnowić i zachować piękny ten gmach. Stoi on odosobniony, otoczony ulicami Szewską, Józefa, Bawół i Starowiślną.

Ze starej Kazimierzowskiej budowli pozostały fundamenty. Dzisiejszy gmach to dzieło Mateusza Guci z r. 1570, jak świadczy napis na jednym ze zworników.

Wykończono fasady głównego gmachu od wszystkich czterech przylegających ulic, a restauracya jest tak pomyślaną, by osiągnąć efekt mas całej budowy.

Według projektu Zygmunta Hendla teren bóżnicy zostanie obniżony do poziomu, jaki był w wieku 16-tym, i otoczony ogrodem rodzajem skweru, który oddzielony będzie od przyległych ulic murem kamiennym, ozdobionym kratami żelaznemi.

Część tego muru jest już wykończona i stanowi nadzwyczaj malownicze tło dla pięknego gmachu.



Kazalnica w starej synagodze na Kazimierzu w Krakowie z XVI. wieku.

Obecna budowa w stylu przejściowym ze stylu gotyckiego w renesans, tworzy podłużną halę, w której część przęseł bogato żebrowanych wspiera się na dwóch okrągłych filarach kamiennych.

Z biegiem wieków 17-go i 18-go powstały przybudówki, malowniczo grupujące się około centralnego budynku, w których umieszczone są modlnice dla kobiet. Jedna z modlnic posiada artystycznie wykonane sklepienie w stylu barokowym z symbolami biblijnemi.

Hala główna, uwieńczona jest attyką arkadową, brak jej jednakże esowatych zakończeń, podobnych do attyki na Sukiennicach.



Fot. M. Pawlikowski w Krakowie.

Synagoga na Kazimierzu w Krakowie, którą restauruje zasłużony badacz historyi sztuki p. Zygmunt Hendel.

Wnętrze bóżnicy przedstawia się ponuro mimo światła spływającego z wysoko umieszczonych okien. Kamienne filary i sklepienie, również i ściany pociągnięto obficie farbą i straszliwie zeszpecono. Z pewnością po usunięciu farby na ścianach, odnalazłyby się dawne dekoracye ornamentalne i figuralne, jakie widzimy w starych bóżnicach galicyjskich.

Ozdobą synagogi są liczne piękne świeczniki mosiężne, dalej kazalnica z kutego żelaza, zdobna w arabeski, kulki i lilie.

Bardzo starodawne są księgi święte, zczerniałe od starości, i materye tkane złotem i srebrem. Srebrne przedmioty najstarsze pochodzą z 16-go wieku. Kamienna skarbonka ma napis biblijny i rok 1407.

Tu w tej starodawnej bóżnicy modlą się synowie Izraela jak przed wiekami za czasów ostatniego Piasta ich praojcowie. Konstytucya otworzyła żydom Kazimierskim Kraków, zamknięty dla nich od rządów Jana Olbrachta.

Część pozostała w Kazimierzu, lecz większość, zwabiona wolnością, wypłynęła szeroką falą i zajęła Stradom, ulicę Grodzką, wielką część rynku, ulicę Floryańską i Kleparz i wyparła ludność polską, wobec której, niepomna dobrodziejsw, zajmuje po większej części wrogie stanowisko.

Sońka.

Kraków, 20. 11. 1913.

Z naszych spraw.

V. Sejmik oświatowy Towarzystwa Czytelni Ludowych w Poznaniu

rozpoczął w ubiegły poniedziałek o godzinie pół do 4-ej po poł. na wielkiej sali Domu Królowej Jadwigi obrady.

Pierwsze posiedzenie plenarne zagaił prezes Zarządu Głównego p. Karol Sczaniecki, przedstawiając zebranym krótki szkic działalności w roku ubiegłym. Z pewną obawą trzeba niestety stwierdzić, że składkowanie na cele T. C. L. cofa się, a to przeważnie z tego powodu, że zaprowadzono w ostatnich czasach składkowania na najrozmaitsze cele. Po przedstawieniu planu pracy na przyszłość, p. prezes poprosił na marszałka p. dr. Celichowskiego z Kórnika, na co zebrani się godzą. Marszałek obejmując zaszczytny ten urząd, który dzierży już po raz trzeci, poprosił na wicemarszałków ks. Wróblewskiego z Niedamowa i p. dr. Szułdrzyńskiego z Bolechowa; na sekretarzy p. St. Kuhnerta z Bytomia i ks. Męczykowskiego z Torunia.

Ks. A. Ludwiczak miał długi referat: „Pogląd ogólny na T. C. L. i jego działalność w roku ubiegłym sprawozdawczym". Ksiądz referent przechodził kolejno nasze dzielnice: W. Ks. Poznańskie, Śląsk, Prusy Królewskie i Książęce, Warmię, obczyznę, wyłuszczywszy stan organizacyi T. C. L. w poszczególnych dzielnicach. Niepocieszenie wygląda na Śląsku; Warmia zupełnie bez organizacyi; na wychodźtwie budzi się ruch w tym

kierunku i zapowiada dobrze; Berlin nie dopisał, a Zarząd Główny musiał zerwać stosunki; Prusy Królewskie nieźle się zapowiadają.

Nastąpiło wyznaczenie członków do komisyi. O godz. 5-ej marszałek zamknął pierwsze posiedzenie, po którem bezpośrednio odbyły się obrady w komisyach.

Dnia następnego rano o godz. 9-ej odbyła się w kościele św. Marcina msza św. na intencyę Sejmiku. O godz. 9 i pół rozpoczęło się drugie plenarne posiedzenie, na którem po żywej dyskusyi uchwalono kilka rezolucyj, dotyczących uregulowania kwestyi wypożyczania książek z Czytelni.

Udział w Sejmiku był, jak corocznie, bardzo liczny.

* * *

Zjazd księży patronów i wicepatronów Związku katolickich Towarzystw robotników polskich

odbył się w ubiegły poniedziałek w Poznaniu na wielkiej sali Domu Królowej Jadwigi. Zjazd zagaił ks. prałat Stychel z Poznania. Na porządku obrad było kilka ważnych przedmiotów, a mianowicie też sprawa „pracy systematycznej w stowarzyszeniach robotników", jako też sprawa „uszlachetnienia życia robotników".

Na temat pierwszy wygłosił referat ks. kanonik Lisiecki, a na temat drugi ks. kanonik Grzęda. Nad referatami wyłoniła się ożywiona dyskusya. Głos zabierali w niej między innymi także pp. Brzeski z Krotoszyna i Pluciński z Lusówka. Obaj ci panowie zaznaczyli, że tory, któremi toczy się sprawa robotników archidyecezyj tutejszych są zupełnie prawidłowe. Ztąd też płonne były obawy niektórych obywateli, że dążności robotników mogą przybrać kierunek niepożądany. Życzyćby więc należało, żeby ci obywatele, którzy stronili od tych organizacyj, popierać je teraz zechcieli.

Rezolucyj żadnych nie powzięto.

Z zarządu głównego ustępowali ks. kanonik Lisiecki i ks. patron Adamski. Obydwóch wybrano ponownie.

* * *

Walne zebranie Towarzystwa demokratyczno-narodowego

odbyło się na sali Domu Królowej Jadwigi w mieście naszem dnia 19-go b. m. Marszałkował obradom p. Woziwodzki z Gostynia, do pióra powołano p. A. Marwega.

Jako pierwszy referował o pracy stronnictwa T. D. N. p. dr. Mieczkowski. Następnie wygłosił p. redaktor dr. M. Seyda referat polityczny. Ze sprawozdania skarbnika p. K. Rzepeckiego dowiadujemy się, że w kasie jest 1200 mk.

Do rady głównej T. D. N. wybrano powtórnie ustępujących członków, poczem w wolnych głosach wyrażono najrozmaitsze życzenia tak pod adresem posłów jak i zarządu. Proszono m. i. o więcej zebrań wychowawczo - politycznych, uchwalono też 100 mk. na złagodzenie nędzy w Galicyi.

Zebranie trwało trzy godziny.

* * *

Obchody pamięci księcia Poniatowskiego

odbyły się w mieście naszem w ubiegłą sobotę w kółkach zamkniętych staraniem Sokoła poznańskiego i Sokoła jeżyckiego. Oba zarządy dołożyły wszelkich starań, by uroczystości wypadły jak najodpowiedniej i najgodniej. Śpiewy, deklamacye, produkcye muzyczne i t. p. złożyły się na bardzo urozmaicony i miły dla serca polskiego program. W Jeżycach wygłosił odczyt o księciu Józefie p. Konstanty Chałupka, a w Poznaniu miał takiż wykład p. redaktor Czesław Kędzierski.

* * *

Rocznica księcia Józefa w Paryżu.

W ubiegłym tygodniu odbył się w Paryżu uroczysty obchód francuski na cześć księcia Józefa, urządzony staraniem komitetu francusko-polskiego. Uroczystość odbyła się w wypełnionej po brzegi, francuską przeważnie publicznością, sali Towarzystwa geograficznego. Przewodniczył zebraniu i zagaił je p. J. H. Rosny starszy, prezes komitetu, i odczytał przytem listy i depesz na obchód przysłane. Zabrał głos potem p. Tankred Marcel, autor wielu dzieł i prac o epoce Napoleońskiej, z których jedna „Le Prince de Hanau" duży rozgłos sobie zdobyła. Przypomniał on zebranym życie i zasługi Poniatowskiego, nie tylko dla własnej ojczyzny, lecz i dla Francyi, która obdarzyła go najwyższą, jaką rozporządzała, oznaką, godnością marszałka francuskiego. Główny nacisk mówca kładł na sympatye francuskie dla Polski tak silne w owych czasach, a których i dzisiaj, pomimo zmienionych warunków politycznych, pełno wciąż jeszcze. Przemówienie, przeplatane cytatami z pisarzów francuskich i polskich, ze swadą wielką wygłoszone, niejednokrotnie oklaskami było przerywane i sowicie niemi nagrodzone zostało.

Po odczycie nastąpiła część artystyczna, w której popisywały się, zasłużone zbierając oklaski, panie Fillet i de Gerlor, wychowanice konserwatoryum paryskiego, jedna w śpiewie, druga w deklamacyi; wykonały one szereg utworów Berangera, Wiktora Hugo i innych, Poniatowskiemu lub wogóle Polakom poświęconych. Miłą dla zgromadzonych pamiątką został artystycznie wydany program obchodu, przyozdobiony reprodukcyami rzadkich rycin francuskich. Cała uroczystość miała charakter podniosły i powiodła się znakomicie.

* * *

Obchody 1600-ej rocznicy zwycięstwa Krzyża nad pogaństwem.

Dnia 19-go b. m. wieczorem urządziła w mieście naszem Sodalicya Młodzieży Kupieckiej w Domu Królowej Jadwigi obchód z powodu 1600-ej rocznicy oswobodzenia Kościoła przez Konstantyna Wielkiego.

Na estradzie widniał biust papieża Piusa X w zieleni, nad estradą krzyż z napisem: „W tym znaku zwyciężysz!" Najprzód zaintonował dobrze wćwiczony chór męski pod batutą pana Parzyboka Moniuszki „Oto drzewo krzyża", zyskując zasłużone oklaski. Następnie p. dr. Rydlewski zadeklamował z przejęciem „Psalm wiary" z Krasińskiego „Irydiona", a zachęcony oklaskami zadeklamował jeszcze „Kto się w opiekę". Dalej młody skrzypek p. Macioszczyk odegrał z towarzyszeniem fortepianu „Pieśń bez słów" Moszkowskiego. Wielką atrakcyą obchodu była mowa wygłoszona przez ks. prałata Kłosa. Czcigodny mówca rozwiódł się obszernie o doniosłem dla Kościoła znaczeniu zwycięstwa Konstantyna Wielkiego przed 1600 laty, wywołując mianowicie wrażenie scharakteryzowaniem tegoczesnego prześladowania Kościoła we Francyi, Włoszech, Rosyi i Niemczech. Huczne oklaski były podzięką za głęboko pomyślany i wypowiedziany z temperamentem odczyt. — Panowie Kobyliński i Jóźwiak (tenor i baryton) odśpiewali poprawnie Faure'go „Pod krucyfiksem", a p. Józef Nowak zadeklamował Czapelskiego „O Panie, podnieś dłoń". I te popisy nagrodzono oklaskami. Obchód zakończył śpiew chórowy „Chrystus z nami" Maszyńskiego, za który dziękowano śpiewakom, a niemniej i dyrygentowi p. Parzybokowi. Publiczność wielce zadowolona opu-

szczała salę, wyrażając uznanie prezydyum Sodalicyi za dwugodzinną ucztę duchową.

Z powodu powyżej wzmiankowanej rocznicy urządziło również w mieście naszem w ubiegłą niedzielę obchód Towarzystwo pracownic konfekcyjnych w sali Domu Kotolickiego. Piękne było słowo wstępne, wygłoszone przez ks. kanonika Lisieckiego. Program składał się: ze śpiewów chórowych pod batutą p. Andrzejewskiego, z obrazów świetlanych z objaśnieniami ks. prob. Ludwiczaka z Pniew, z recytacyi „Kto się w opiekę" p. dr. Rydlewskiego, deklamacyi przewodniczącej p. Maryi Wojtkiewiczówny „W 1600. rocznicę oswobodzenia Kościoła świętego" i p. Maryi Woźniakówny „Chryste, o Chryste". Uroczystość zakończył śpiew wspólny „Wszystkie nasze dzienne sprawy".

* * *

Piąty zjazd Młodzieży kupieckiej (śląskiej)

odbył się dnia 19-go b. m. w Katowicach. Zebrała się poważna liczba uczestników tak gości, składających się z sfer obywatelskich, kupieckich i przemysłowych, jakoteż z członków poszczególnych towarzystw. Pomiędzy gośćmi byli także obecni posłowie ks. Pośpiech i p. Sosiński. Zjazd zagaił p. Godula z Bytomia, przewodniczył p. Weber z Bytomia, sekretarzował p. Głowacki z Katowic. Wygłoszono dwa wykłady a mianowicie p. Anflink, delegat Zjednoczenia Młodzieży kupieckiej z Poznania „o kasie wsparcia dla będącej bez pracy młodzieży kupieckiej" i p. Kuhnert z Bytomia „o rozwoju i zadaniu towarzystw młodzieży kupieckiej na Górnym Śląsku". Po wykładach wywiązała się ożywiona dyskusya, w której rozbierano kwestye nader żywotne. Szczególnie wykład p. Kuhnerta przyczynił się niejednokrotnie do wyświetlenia obowiązków młodzieży kupieckiej na Górnym Śląsku pod względem socyalnym, społecznym i narodowym.

* * *

Wystawę przeciwalkoholową

urządzoną staraniem zarządu związkowego „Wyzwolenia", otwarto w ubiegłą niedzielę w mieście naszem. Wystawa mieści się na sali domu parafialnego przy kościele św. Małgorzaty na Śródce. Otwarta jest do 30 b. m. od godz. 11-ej do 1-ej w poł. i od 4-ej do 10-ej wiecz., w niedzielę, dnia 30-go b. m. wystawa otwarta od 12-ej w poł. do 10-ej wiecz. Wstęp bezpłatny.

* * *

Znamienny zakaz.

Za pozwoleniem ks. kardynała Koppa miały się odbyć w Groszowicach (pod Opolem) od 29-go listopada do 8-go grudnia misye prowadzone przez OO. Redemptorystów, atoli ks. prob. Rudzki otrzymał list pospieszny od OO. Redemptorystów, iż misye odbyć się nie mogą, albowiem rejencya *na polskie misye nie pozwala, że w niemieckim języku mogłyby się odbyć.*

Strzeż się budować pomyślności swojej na upadku bliźniego.

* * *

Do znoszenia boleści udzieliła natura mężczyźnie siłę, kobiecie cierpliwość.

Na widowni.

Po pięciomiesięcznym okresie bezparlamentarnym jesteśmy znowu od wtorku pod opieką *parlamentu*. Dla rządu skończyły się piękne czasy swobody, ma on znowu na karku kontrolę „reprezentantów narodu", która czasem staje się bardzo niewygodną. Właściwy program pracy ustawodawczej nie jest w tej sesyi zimowej zbyt obfity. Z projektów ustawowych, które parlament ma załatwić, wymieniamy jako ważniejsze ustawę o monopolu sprzedaży nafty, nowelę do kodeksu handlowego, dotyczącą klauzuli konkurencyjnej, ustawę o czekach pocztowych, o szpiegostwie, o odpoczynku niedzielnym oraz kilka drobnych nowel do ordynacyi procederowej. Wszystkie te sprawy nie wywołają zapewne ostrzejszych walk lub namiętnych dyskusyj partyjnych. Te znajdą ujście w interpelacyach oraz obradach nad budżetem.

Budżet na rok 1914 nie przedstawia się wcale wesoło. Wzrastają podatki — wzrastają długi, a to głównie dzięki olbrzymim ciężarom wojskowym. Państwo prusko-niemieckie jest państwem nawskroś militarnem. Dowodzą tego cyfry budżetu, ogłoszonego na rok 1914 w projekcie rządowym. Na ogólną cyfrę 3 miliardów 400 milionów marek, która figuruje w dochodach i rozchodach, przypada wydatków na wojsko i marynarkę przeszło 2 miliardy. Ciężary militarne są istną kulą u nogi w gospodarce finansowej Rzeszy i one to głównie powodują ciągły wzrost długów państwowych, niezgodny z zdrowemi zasadami skarbowości państwa. Ogólna suma długów rzeszy dochodzi już do 5 miliardów, a w roku przyszłym zapewne nawet kwotę tę przekroczy. Ile od tego wynoszą procenty, które rokrocznie państwo musi opłacić z kieszeni podatkującej ludności, łatwo sobie wyliczyć.

Ale nietylko nazewnątrz ujawnia się militarny charakter Niemiec współczesnych. Pod wpływem pruskim zapanował i w całem życiu wewnętrzno-państwowym duch militarny. Armia nadaje właściwy ton w stosunkach publicznych, porucznik jest przedstawicielem władzy, przed którą pochyla się głowę, a sam kanclerz musi dla dodania sobie powagi przy znaczniejszych uroczystościach występować w mundurze oficerskim. Byłoby to wszystko rzeczą mniejszej wagi, gdyby z militaryzmem pruskim nie łączyły się cechy bezwzględności ostrej, rażącej i junakeryi, odnoszącej się z pogardą do wszystkiego, co nie nosi pikelhauby. Znane, głośne zajścia w miasteczku alzackiem *Saverne* nie na innem tle się rozegrały jak właśnie na tle antagonizmu między militaryzmem pruskim a ludnością, przyuczoną jeszcze z czasów francuskich do tego, aby karku nie zginać.

Jak późniejsze relacye wykazały, była władza cywilna za tem, aby zatarg, spowodowany prowokacyjnem wystąpieniem porucznika Forstnera załagodzić. Ale władza wojskowa, reprezentowana w tym wypadku przez generała *Deimlinga*, osądziła, że nie należy żadnej okazać „słabości", lecz przemocą spokój utrzymać. Generał Deimling, który już kilkakrotnie zarządzeniami swemi burzył spokojną ludność Metzu, pojechał sam do Berlina i tam wyjednał aprobatę dla swej taktyki ostrego tonu. Władza cywilna, jak zwykle w Prusiech, musiała skapitulować przed instancyą wojskową.

Sejm alzacko-lotaryński nie puści tej sprawy płazem, a znając dotychczasowe stanowcze wystąpienia posłów w tym sejmie, przypuścić można, że nie będą oni owijać sprawy w bawełnę, ale sprawy samej nie potrafią zmienić. To jednak pewna, że przywiązania ludności w Alzacyi i Lotaryngii Niemcy sobie w ten sposób nie zdobędą. Mogą sobie narazie kpić z tego pruscy czciciele siły fizycznej, którzy kwestyę uczuć ludu poddanego sobie lekceważą, ale niech zajdą jakieś zawikłania na terenie zagranicznym i w wir swój wciągną państwo niemieckie, to wówczas uczucia ludności mieszkającej na kresach aż nadto mogą zaważyć na szali.

Na razie co prawda widnokrąg polityczny w Europie wygląda dość pogodnie. Niemcy usłyszeli dużo przyjemnych rzeczy od przejeżdżającego przez Berlin prezesa ministrów rosyjskich *Kokowcowa* i bardzo są z tego kierującego męża stanu w Rosyi zadowoleni. Pan Kokowcow sam się nazwał optymistą i istotnie zarówno sprawy międzynarodowe jak i wewnętrzną politykę rosyjską w różowych przedstawił barwach oblegającym go wywiadowcom prasy berlińskiej. O ile chodzi o wewnętrzne stosunki w Rosyi, to słowa ministra bardzo szybko doznały zaprzeczenia, i to z ust tak umiarkowanego zresztą polityka, jak przywódcy październikowców *Guczkowa*. Poddał on w przemowie publicznej rządy Kokowcowa ostrej krytyce, dającej wyraz powszechnemu niezadowoleniu, jakie w Rosyi panuje.

Czy optymizm Kokowcowa co do polityki międzynarodowej jest na dłuższą metę uzasadniony, co do tego możnaby mieć także wątpliwości.

Pogląd, jaki austro-węgierski minister spraw zewnętrznych hr. *Berchtold* dał w delegacyach na sytuacyę zagra-

niczną, był daleki od wszelkiego optymizmu. Hr. Berchtold mówił coprawda o przeszłości, starając się usprawiedliwić niefortunną politykę Austryi wobec Bałkanów, ale i na przyszłość ani z jego mowy, ani z dyskusyi nad nią nie można wyciągnąć pocieszających wniosków. Bardzo niepewnem wydaje się przedewszystkiem położenie w *Bułgaryi*, zkąd nadchodzą wieści o nastroju wrogim królowi Ferdynandowi. Ciągle też mówią o abdykacyi tego monarchy, który już od dłuższego czasu siedzi poza granicami swego kraju. Tu tkwi moment niepewności dla całej przyszłej konstelacyi politycznej na Bałkanach.

W troskach wewnętrznych Austryi sprawa galicyjskiej *reformy wyborczej* w dalszym ciągu pierwsze zajmuje miejsce. Podczas rokowań nad tą kwestyą nastąpił ważny fakt, a mianowicie rezygnacya posła *Stapińskiego* z prezesury w klubie posłów stronnictwa ludowego oraz z wiceprezesury w Kole Polskiem. Jeżeli to uważać można za definitywne zwycięstwo zdrowych i uczciwych elementów w stronnictwie ludowem, które z szkodliwą działalnością Stapińskiego nie chce się solidaryzować, to powitać należy objaw ten jako dobry prognostyk dla stosunków w Galicyi. — Patrz artykuł p. t. „Fermenty".

Na warszawskim bruku.

(Własna korespondencya „Pracy".)

Sezon odczytowy w całej pełni. — Akt doroczny w Towarzystwie Naukowem. — Sensacyjne ukazanie się p. Curie-Skłodowskiej. — Zgon wielkiego uczonego polskiego. — Choroba i niedola zasłużonego weterana sztuki. — Wielka artystka zamiast na scenie, na estradzie. — Zabawa w kandydaturę prezydyalną.

Posiadać siły herkulesowe w sezonie obecnym nie wystarcza; potrzebaby czegoś więcej, a mianowicie umiejętności rozdrabniania się na cząsteczki, ażeby być wszędzie, wszystko zaobserwować i z wszystkiego zdać wierną relacyę szanownym czytelnikom „Pracy". Że zaś prawo fizyczne orzeka, że ani dwa ciała nie mogą pomieścić się na jednem miejscu, ani też jedno ciało nie może się równocześnie znajdować w dwóch różnych miejscach, więc najsumienniejszy nawet sprawozdawca z życia warszawskiego nie podoła zobrazowaniu całości tego, co się dziś przewija przed oczami w naszej, bądź co bądź niemałej stolicy. Przedewszystkiem tedy weszliśmy w okres różnych wieczornic i odczytów i niema prawie dnia, ażebyw rozmaitych salach i w różnych punktach miasta nie stawali wybitni prelegenci, darzący słuchaczów mniej lub więcej ciekawemi i mniej lub więcej udolnie opracowanemi dociekaniami z wszelkich dziedzin wiedzy. Nieraz chciałoby się pójść tu i tam, nieraz dziennikarz znajduje się w położeniu owego osiełka z bajki, któremu „w żłobie dano, w jednym owies, w drugim siano", że jednak, jak powiedziałem wyżej, prawo fizyczne temu na przeszkodzie, więc omija się i owies i sianożęć.

Największem powodzeniem, albo raczej najznaczniejszem gronem słuchaczów cieszyć się zwykły wykłady popularnie utrzymane, a wygłaszane przez pierwszorzędnych chemików, przyrodników, adwokatów itp. na wystawie w Pałacu Lodowym, gdzie rozgościły się wszystkie okazy, mające związek z „ruchem, światłem i ciepłem". Niemniej dużem powodzeniem cieszą się odczyty w Tow. Krajoznawczem, w Domu Ludowym itp. Szczytem jednak wszystkiego pod tym względem będzie zapowiedziany na dzień 25-ty listopada odczyt pani Curie-Skłodowskiej. Kancelarya Tow. Naukowego, gdzie znakomita uczona nasza przemawiać będzie podczas dorocznego aktu uroczystego, jest od kilku dni w prawdziwem oblężeniu i trzebaby chyba połączyć w jedno wszystkie wielkie sale warszawskie, gdyby się chciało pomieścić wszystkich, a zwłaszcza wszystkie istoty zaciekawione. Nie sądźcież jednak, mili czytelnicy, że to żądza wiedzy pcha do takiego gromadnego wciskana się na zapowiedziany odczyt rozgłośnej profesorki paryskiej, a naszej rodaczki, Warszawianki, wychowanej na pensyi po dziś dzień istniejącej pani Sikorskiej. Na sto kandydatek do uczestniczenia w akcie Tow. Naukowego, wątpię, czy znalazłaby się bodaj jedna, któraby wiedziała co to jest radyum i jaką doniosłość ma odkrycie p. Skłodowskiej dla nauki. O to też wcale owym kandydatkom nie chodzi, one pragnęłyby tylko błysnąć strojem i przez lornetkę (albo raczej po staropolsku, przez „patrzałkę") przyglądać się ruchom, gestom i odzieniu wszechświatowej znakomitości.



Curie-Skłodowska w swej pracowni.

Niestety! akt uroczysty, ze względu na szczupłość sali, może się odbyć tylko w gronie członków i bardzo nielicznych, zaproszonych z pośród osób przodujących społeczeństwu, gości.

W tej wielkiej uroczystości naukowej nie weźmie już w tym roku udziału jeden z najpierwszorzędniejszych uczonych polskich wogóle, śp. Adam Mahrburg, który po ciężkiej i długotrwałej chorobie zszedł cicho z tego świata. Gdyby to był aktor, śpiewak, błyskotliwy felietonista, lub jeden z tych wielkich ludzi do bardzo małych interesów, cała Warszawa wyległaby na pogrzeb, a pisma brukowe rano i wieczorem przepełnioneby były zbieraniem szczegółów o przygotowaniach do oddania ostatniej przysługi, ale że to zmarł tylko uczony mąż i filozof, jedyny od czasu ubytku śp. Henryka Struvego na bruku warszawskim, więc śmierć śp. Mahrburga zaznaczono zaledwie w kilku wierszach, a pogrzeb odbył się cicho i skromnie, że za trumną postępowało tylko oprócz najbliższej rodziny i przyjaciół, szczuplutkie grono wielbicieli. Bodaj to u nas poświęcać życie dążeniom do światła i prawdy!...

Ale i aktor i śpiewak, kiedy już zejdzie z pola, ginie u nas prędko w zapomnienia fali. Najlepszy tego dowód na znakomitym jeszcze tak niedawno artyście p. Chodakowskim, który przez lat blizko czterdzieści wiernie służył polskiej sztuce, który jako reżyser wystawił setki oper, zawsze polskim kompozytorom poczesne wyznaczając miejsce, który posiadł wysoką umiejętność śpiewu i który wreszcie wychował cały zastęp uczniów i uczennic, zajmujących dziś pierwszorzędne stanowisko na scenach polskich i obcych. Od kilku lat, sterany wiekiem i pracą, ten pierwszorzędny barytonista opery warszawskiej, cofnął się w zacisze domowe i... zapomniano o nim niemal zupełnie. Dopiero przed kilku dniami ktoś dowiedział się, że Chodakowski zaniemógł ciężko, a wydawszy wszystkie oszczędności z lat dawnych, walczy z niedostatkiem. Wiadomość tę, pomieszczoną w pismach, przyjęto dość obojętnie, co jest tem dziwniejsze, że Chodakowski dawniej w pełni swojej sławy, nigdy nie odmawiał udziału w koncertach, urządzanych na cel dobroczynny. Na szczęście prezes Małyszew wziął dolę znakomitego artysty do serca i rozporządził, ażeby na rzecz chorego starca odbył się poranek w teatrze Wielkim z udziałem wszystkich gwiazd, świecących obecnie na niebie sztuki warszawskiej. Zasiłek znajdzie się tedy napewno, ale jakże dziwną, jak kapryśną, lekką i płochą jest nasza Warszawa!

Wobec tego nie można się wcale dziwić p. Jadwidze Mrozowskiej, która zabłysła jak meteor dwukrotnie na wła-

snych wieczorach w sali Filharmonii, i pomimo czułych oczek, robionych do niej przez całą krytykę warszawską, ani myśli zaprządz się w jarzmo stałych artystek naszych teatrów rządowych. Wielka ta odtwórczyni i tak różnorodna w swoim talencie, wie dobrze, coby ją czekało ze strony miłych koleżanek, woli tedy być wolną, jak ptak i kusić tylko Warszawę od czasu do czasu. Aniby nikt nie sądził, czem Mrozowska tym razem podbiła Warszawę? Oto interpretacyą ód Horacego i wprost cudownemi melodeklamacyami. Już to samo dowodzi, jak wielce oryginalny jest talent artystki, która od czasów Modrzejewskiej nie ma sobie chyba równej na całym obszarze ziem polskich.

Lepiej, niż w teatrze na wesołej krotochwili, można się ubawić sporem, który się teraz toczy w prasie o to, komu obywatele mają powierzyć dostojny mandat przyszłego obieralnego prezydenta miasta Warszawy. Samorząd jeszcze w lesie, nic nie wiadomo, jaki on będzie czy czasami ów prezydent nie wyłoni się z nominacyi rządu, a tu jeszcze kłótnie, ażali ster miasta ma objąć mecenas Suligowski, czy też hr. Józef Potocki, czy Roman Dmowski, czy też może *(risum teneatis amici!)* p. Aleksander Rajchman, arcyniefortunny „Old" z „Kuryera Warszawskiego". Ta ostatnia kandydatura byłego właściciela biura ogłoszeń, później twórcy Filharmonii, później impresarya aeroplanowego, wreszcie dziennikarza, zakrawa na farsę i przykrość największą wyrządzają p. Rajchmanowi ci, którzy ją wystawiają. Tak jednak, czy owak, sprawa samorządu powinna się rozegrać niezadługo.

Włodzimierz Trąmpczyński.

†

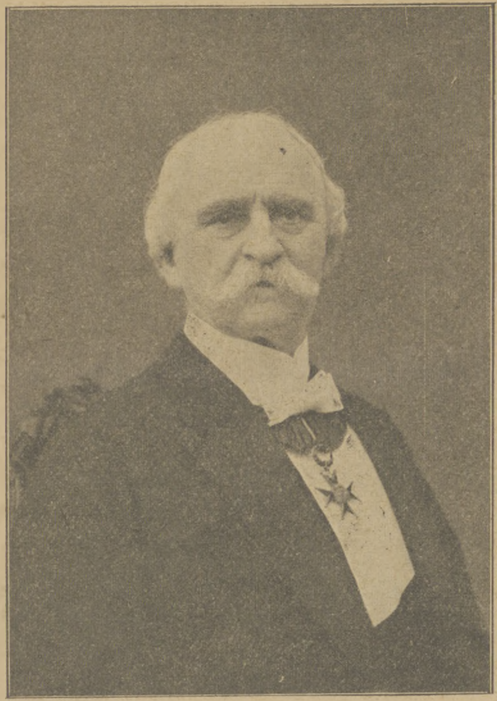
Z żałobnej karty.

Ś. p. Kazimierz Thiel.

Dnia 22-go listopada rozstał się z tym światem we Wrocławiu ś. p. Kazimierz Thiel, tajny radca sprawiedliwości i komandor orderu św. Grzegorza.

Zmarły należał do tego szczupłego grona Polaków, którzy w służbie rządowej świetną zrobili karyerę. Był bowiem tajnym radcą przy sądzie nadziemiańskim we Wrocławiu, czyli, że dygnitarski piastował urząd. Ofiarowane mu w głębi Niemiec wyższe stanowiska odrzucał, gdyż nie chciał się rozstawać ze stolicą sąsiedniej Księstwu prowincyi.

Krajowi ojczystemu i społeczeństwu polskiemu zawsze pozostawał wierny, nie taił się nigdy ze swą narodowością, a mi-



Ś. p. Kazimierz Thiel.

mo to cieszył się u obcych najwyższą sympatyą i rzetelnem poważaniem. Szczery przyjaciel śp. arcybiskupa Stablewskiego, który niejednokrotnie światłej i wytrawnej rady jego zasięgał, potrafił nieboszczyk zjednaać sobie względy J. E. ks. kardynała Koppa, który w dowód uznania za mądre i celowe przeprowadzenie rozdziału na Śląsk sum welfickich wyrobił mu u Ojca św. wyskie odznaczenie w postaci godności komandora orderu św. Grzegorza.

W życiu publicznem społeczeństwa, z racyi pobytu swego poza granicami kraju, zmarły wybitniejszego udziału nie brał. Gdzie jednak nadarzała się sposobność, zawsze stawał w obronie praw naszych. Dom jego we Wrocławiu należał do najwykwintniejszych wśród kolonii wrocławskiej i staropolską odznaczał się gościnnością.

Śp. Kazimierz Thiel pochodził ze starej rodziny prawniczej. Ojciec jego był sędzią kryminalnym w Poznaniu, on sam, nim go losy przeniosły do Wrocławia, urzędował jako sędzia w Grodzisku i Kępnie. Dwaj jego bracia także poświęcili się jurysprudencyi. Żyje z nich jeszcze p. Stefan Thiel, radca sprawiedliwości we Wrześni.

Śp. Kazimierz Thiel patryarchalnego doczekał się wieku. Zmarł licząc lat 79. Nad trumną jego boleje czworo dzieci: synowie Kazimierz, człowiek niezwykle zdolny, który obecnie przebywa w Monachium oddany studyom prawniczym i filozoficznym, i Stanisław, dziedzic Doruchowa, oraz dwie córki: Felicya d-rowa Tadeuszowa Dembińska z Poznania i Adela, która jako siostra miłosierdzia w Chełmnie wzniosłej idei miłości bliźniego poświęciła życie. Z córki młodszej pani Felicyi Dembińskiej doczekał się zmarły wnuków, którzy teraz opłakują najczulszego dziadka.

Niech spoczywa w pokoju!

Ciężko dotkniętej rodzinie zasyłamy wyrazy najszczerszego współczucia.

Uroczysta introdukcya

księdza dziekana *Mayera*, proboszcza parafii świętomarcińskiej, odbyła się w ubiegłą niedzielę. Punktualnie o godzinie 10-ej zajechał Najprzew. ks. Biskup Likowski, powitany przez ks. proboszcza w otoczeniu licznego duchowieństwa oraz dozoru i reprezentacyi parafialnej. Na starem probostwie świętomarcińskiem ubrał się ks. Biskup w szaty pontyfikalne i wśród bicia dzwonów przy odgłosie pieśni „Kto się w opiekę" ruszyła procesya do zamkniętych głównych drzwi kościoła parafialnego. Tutaj, po odmówieniu przepisanych rytuałem modłów, wręczył Najprzew. ks. Biskup klucze kościoła nowemu ks. proboszczowi. W mowie swej od ołtarza zaznaczył ks. Biskup ważność dnia dla parafii świętomarcińskiej, a nowemu probo-



Ks. dziekan Mayer, proboszcz parafii świętomarcińskiej w Poznaniu.

szczowi życzył pomocy Bożej, ażeby i na tem nowem stanowisku umiał podołać licznym a trudnym obowiązkom swojego szczytnego powołania. W serdecznych słowach podziękował ks. proboszcz Najprzewielebniejszemu ks. Biskupowi, parafian zaś swoich prosił o szczere modły za siebie, przyrzekając zarazem wszystkie siły li tylko dla nich odtąd poświęcać, na wzór najlepszego Pasterza ewangelicznego. Uroczyste „Te Deum" zakończyło wzniosłą ceremonię.

Sumę uroczystą z asystą odprawił nowy ks. proboszcz, a kazanie na temat:

„O znaczeniu prawdziwego duszpasterza w dzisiejszych czasach" wygłosił kaznodzieja archikatedralny ks. subregens Krzeszkiewicz.

Kościół jak i stara plebania przyozdobione były za staraniem dozoru parafialnego w piękną dekoracyę — a mianowicie podpadał bogato przybrany w kwiaty i światło wielki ołtarz.

Nowemu proboszczowi i dziekanowi księdzu Mayerowi zasyłamy serdeczne „Szczęść Boże". Ad multos annos!

Wyścigi konne w Iwnie,

odbyte dnia 4-go listopada r. b.

Od czasów niepamiętnych wiernym i niezbędnym towarzyszem człowieka, uzupełniającym niejako jego siły fizyczne, jest koń, którego, co do silnego ustroju i wytrwałości w biegu, nie jest w możności zastąpić żadne inne zwierzę. Szlachetnem tem stworzeniem posługiwano się chętnie podczas igrzysk olimpijskich w starożytnej Grecyi, a następnie w cyrkach Rzymu dla zabawy ludu. Lubo też po zaprowadzeniu chrześcijaństwa igrzyska te zniesiono, wszelako wznowiono je znowu podczas ważniejszych uroczystości w Bawaryi, Austryi i we Włoszech.

Dla rozrywki ludu odbywały się też wyścigi w Anglii za panowania Rzymian. Atoli popisy publiczne z nagrodami zaprowadzono dopiero w początkach wieku 17-go. Odbywały się one corocznie, na wiosnę lub w jesieni, w każdem hrabstwie Anglii; największą sławę w świecie zjednały sobie wyścigi pod Ascot, Derby, Doncaster, Epsom, Melton-Mombray i Newmarket.

Na wzór angielskich zaprowadzono w roku 1806 wyścigi we Francyi, Rosyi i w krajach niemieckich.

W Polsce odbywały się wyścigi konne już w ciągu wieków 15-go i 16-go. Wszelako stałe zawiązanie instytucyi wyścigowej w Warszawie zawdzięczamy dopier incyatywie jenerała Zygmunta Kurnatowskiego w roku 1841.

Lubo wyścigi nie wpływają żadną miarą na ulepszenie zwykłej rasy koni krajowych, czego dowodem dziś zupełnie zaniedbana rasa polska, ongi jedna z najwybitniejszych pod wierzch i do boju, to jednakże oddziaływają one korzystnie na hodowlę koni czystej krwi. O ile bowiem konie ras niższych niszczą w wyścigach siły zbytniem natężeniem o tyle znów „folbluty", wzmacniając tą drogą płuca, zaprawiają się w rączości i wytrwałości.

Ten sam cel mając jedynie na widoku, ziemianie wielkopolscy urządzają też corocznie w jesieni wyścigi konne w Iwnie, posiadłości Ignacego hr. Mielżyńskiego. Zamieszczone zdjęcia fotograficzne ważniejszych epizodów z tegorocznych wyścigów w Iwnie, dokonane przez naszą firmę, bezwątpienia stanowić będą miłe wspomnienie dla uczestników tychże popisów konnych.

Kazimierz Greger.



Fot. K. Greger et Co. w Poznaniu.
Z wyścigów konnych w Iwnie, odbytych dnia 4-go listopada r. b.



Fot. K. Greger et Co. w Poznaniu.
Z wyścigów konnych w Iwnie, odbytych dnia 4-go listopada r. b.



Fot. K. Greger et Co. w Poznaniu.
Z wyścigów konnych w Iwnie, odbytych dnia 4-go listopada r. b.

Z sceny i estrady.

Józef Korzeniowski: Wąsy i Peruka.

Mało kto z nas wie, że komedyę tę, którą z racyi pięćdziesiątej rocznicy śmierci Korzeniowskiego wyciągnięto z pyłu bibliotecznego na światło kinkietów, dano w teatrze poznańskim r. 1875, na przedstawieniu inauguracyjnem, gdy obecny nasz gmach teatralny po raz pierwszy oddawano do użytku publicznego. Wiadomość tę mam od chodzącej kroniki poznańskiej — w dobrem tego słowa znaczeniu — tj. od szanownego mego kolegi i przyjaciela p. Stanisława Wegnera, który z właściwym sobie talentem w „Wielkopolaninie" dzierży pióro krytyka teatralnego. Zanotować jeszcze należy, że rzecz tę grali nie aktorzy zawodowi, lecz grono amatorów z prowincyi ze sfery arystokratycznej i że rolę starościny Niepołomskiej kreowała z niezwykłem powodzeniem zmarła przed kilku laty pani hrabina Węsierskо-Kwilecka z Wróblewa. Nazwisk reprezentantów innych ról nie zapa-

miętałem. Szukałem ich też napróżno w „Wielkopolaninie". Jakoż nie było to jedyne przedstawienie tej udatnej komedyi na naszej scenie. Dawano ją dawniejszemi czasy kilkakrotnie. Wszakże dla obecnej generacyi wznowienie tej rzeczy miało urok nowości.

Ponieważ pomieszczamy w „Pracy" obszerną i znakomitą pracę o Korzeniowskim pióra T. Dąbrowskiego, przeto nie mam powodu rozpisywać się obszernie o autorze i sztuce. Zaznaczę tylko krótko, że jestto jedna z najlepszych komedyj Korzeniowskiego i że dziś jeszcze powodzenie ma zapewnione. Przedstawienie sobotnie potwierdza to najzupełniej. Ale było też to przedstwienie wprost koncertowe, przedstawienie, na które tak reżyser (p. Lipczyński) jak artyści słusznie dumni być mogą.

Styl epoki oddany był znakomicie. Mianowicie akt ostatni odgrywający się w salonie arystokratycznym, tchnącym jakoby dyskretną wonią paczuli, ożywionym figurami poruszającemi się z wersalską galanteryą i paplającemi ową charakterystyczną mieszaniną francusko-polską — dawał subtelne wrażenie tego ancien régime, które zawsze zachowa swój urok jako specyficzna forma właściwej owemu czasowi kultury.

Nawet w karykaturze wykwintny i niefrasobliwy ten świat ujmuje dziwnym, żeby tak powiedzieć menuetowym wdziękiem, odurza niewypowiedzianą wonią subtelnej ironii. Na tle tem kontusz i czub podgolony, gest zamaszysty i kniaźninowa „ozdoba twarzy" iście egzotyczną zdawać się musiały dywersyą. Tem bardziej, że zewnętrzne te akcesorya znamionowały pewne właściwości duchowe i cywilizacyjne obmierzłe wykwintnemu światu żabotowemu.

W komedyi Korzeniowskiego wąsy zwyciężają perukę ku radości stroskanego widza. Konserwatyzm cnotliwy, staropolski tryumfuje nad niebezpiecznem nowatorstwem, boć „wąsy" i „peruka" — to tylko symbole.

Znakomitą propagatorką „peruki" była p. Szczurkiewiczowa. Artystka, która w stroju francuskim wyglądała jak figurka z sewrskiej porcelany, czarowała wykwintem dyskretnego gestu i wytwornością konwersacyi. Również rzeczniczka „wąsów" w osobie p. Kojałłowiczówny inteligentną znalazła reprezentantkę. Nader efektownie i stylowo prezentowała się p. Dąbrowska jako kasztelanowa żmudzka.



Fot. K. Greger et Co. w Poznaniu.
Z wyścigów konnych w Iwnie, odbytych dnia 4-go listopada r. b.

Role męskie bardzo dobrych znalazły reprezentantów. Wymienić należy dwóch gorliwych obrońców staropolszczyzny pp. Rylla i Lochmanna, którzy obaj stworzyli tak w masce jak grze doskonałe typy dworzan wielkopańskich staroszlacheckiego autoramentu, oraz p. Boehlkiego, który jako wojewodzic potrafił zjednać sobie sympatye publiczności. Trochę niespokojny w gestach był p. Dębicz w roli sfrancuziałego Polaka. Natomiast świetny w każdym calu był p. Czarnowski jako szambelan. Utalentowany artysta miał tylko małą rolę, lecz zagrał ją z niezrównaną finezyą. Był to prawdziwy „majstersztyk" sztuki aktorskiej, kreacya tak pod względem charakteryzacyi jak gry dosłownie znakomita, postać, która na zawsze utkwi w pamięci widza. Z prawdziwą przyjemnością winszuję artyście tej małej, lecz w jego interpretacyi wielkiej roli.

Publiczność szczelnie zapełniła widownię i bawiła się na przedstawieniu znakomicie. Należałoby po pierwszej próbie z komedyą Korzeniowskiego wystawić także kilka innych rzeczy tegoż autora. Publiczność nasza gustuje w repertuarze polskim, jak o tem świadczy powodzenie rzeczy fredrowskich. Korzeniowski wprawdzie nie jest Fredrą, lecz zapoznać się z nim warto i trzeba.

R.

* * *

Trzeci koncert Koczalskiego.

Liczna publiczność zgromadziła się w zeszły wtorek na sali Bazarowej, by wysłuchać trzeciego i ostatniego koncertu Koczalskiego. Znakomity artysta zgotował nam prawdziwą ucztę duchową. Słyszeliśmy wspaniałą Sonatę op. 31 No. 2 D-moll Betowena, następnie szereg przepysznych kompozycyj Szopena. Na część drugą składały się wielce oryginalne i silne w wyrazie preludya kompozycyi koncertanta i słynny karnawał op. 9 Szumana, ten sam, który niedawno temu grał Melcer.

Jakkolwiek artysta wszystkie te rzeczy grał niezrównanie pięknie, jednak najbardziej czarował jako interpretator Szopena. Niepodobna wprost wymarzyć, aby można poetyczniej, zwiewniej, bardziej marzycielsko grać np. taki Nokturn Es-dur. Również słynna Berceuse nie znajdzie lepszego wykonawcy. I jeżeli w tych rzeczach fortepian zdaje się przemieniać pod czarodziejskiemi palcami artysty w jakiś nieziemski, anielskiemi głosami dźwięczący instrument, to jakoby zmieniał swój charakter i przekształcał się w orkiestrę, gdy artysta wydzwania na jego strunach tryumfalny polonez As-dur. Artysta potrafił uwydatnić w najwyższej doskonałości jego żywiołową, światobórczą potęgę, a jednak umiał zachować właściwy mu charakter, wysoki rytm posuwistego, pełnego fantazyi i rozmachu rycerskiego tańca.

O kompozycyach własnych koncertanta trudno mi jako niemuzykowi po jednorazowem słyszeniu sformułować zdanie. Mogę wszakże powiedzieć, że uderzyły mnie oryginalnością pomysłu i zainteresowały siłą muzycznego wyrazu.

Karnawał Szumana składa się z dwudziestu epizodów, z których każdy swoistym odznacza się charakterem, a jednak łączy się i składa we wyższej jedności w całość harmonijną i barwną. Rzecz tę grał artysta z maestryą niezrównaną. Wykonanie takiego „Valse noble", „Papillons", „Chopin", „Reconaissance", „Valse allemande", „Paganini", i nareszcie „Marche des Davidsbundlers", by tylko wymienić najefektowniejsze ustępy, było ostatniem słowem sztuki odtwórczej.

Na pomnik K. Marcinkowskiego.

Znakomity lekarz i filantrop, żołnierz z r. 1830, założyciel Towarzystwa Pomocy Naukowej, założyciel „Bazaru", wielki opiekun młodzieży i handlu polskiego, przywódca społeczeństwa naszego w połowie wieku zeszłego — nie ma dotychczas godnego sobie pomnika.

Społeczeństwo ma obowiązek czcić pamięć swych wielkich mężów, a Marcinkowski do największych bezsprzecznie należał. On bowiem przygotował grunt, na którym Jackowski i Wawrzyniak dalej budować mogli.

Otwieramy niniejszem składkę na pomnik na grobie wielkiego społecznika i patryoty.

Prosimy o datki jak najliczniejsze. Nie chodzi o składki wysokie. Drobne

kilkotrojakowe lub markowe składki, byle licznie napływały, wystarczą.

Na cel powyższy złożyli pp. Kazimierz Chłapowski z Kopaszewa 20 mrk., St. Gruss z Aprathu 1 mrk., S. B. z prowincyi 1 mrk., Fr. Nowakowski z Berlina 1,50 mrk., K. Snowadzki z Westfalii 1,50 mrk.

Dotychczas zebraliśmy 30,00 mrk. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Nasze ryciny.

Pogrzeb zakonnicy.

Skromny to pogrzeb służebniczki Bożej, tak skromny jak skromne było jej życie w murach klasztornych: siostry zakonnice oddają jej ostatnią przysługę, siostry zakonnice niosą też ciało zmarłej do grobu. Rzewna i smutna ta scena posłużyła malarzowi za tło do obrazu, którego reprodukcyę zamieszczamy na rycinie albumowej.

KRONIKA.

— **Na fundusz Rady Narodowej** nadesłał na nasze ręce p. St. Grus z Aprathu 7 mrk. 50 fen. z następującym dopiskiem:

Szanowna Redakcyo! Nadsyłam podatek narodowy (Fundusz R. N.) za rok bieżący 7,50 mrk. (1/2 procentu od mego dochodu). Od tego podatku nie wolno żadnemu Polakowi stronić. Jeźli każdy Rodak podatek nań przypadający zapłaci co rok to będzie nasza najwyższa władza mogła z pożytkiem pieniądze rozdzielać na różne potrzeby. Podatek Niemcom dawać musimy, a podatek narodowy dajmy ze szczerego serca. Z uszanowaniem

Stanisł. Grus. Aprath, Nadrenia.

— **Potrzebna kobieta inteligentna** do pomocy w redakcyi i czytania korrekt, zdalna do pracy samodzielnej w organizacyach kobiecych na obczyźnie. Wdzięczne pole działalności społecznej. Materyalne warunki korzystne. Zgłoszenia przyjmuje Dr. Franciszek Schroeder ul. Wilhelmowska 1.

— **Konfiskata.** Dnia 18-go b. m. odwiedziła policya skład hurtowny pocztówek i powinszowań p. Antoniego Fiedlera przy długiej ul. 11. szukając orzełków, kart narodowych i sokolich. Po kilkugodzinnem poszukiwaniu udało się zabrać papier listowy z orzełkami i telegramy narodowe.

— **Od Komitetu opieki nad weteranami** otrzymujemy z prośbą o zamieszczenie następującą **Odezwę:** Nie po raz pierwszy odzywamy się do społeczeństwa z przypomnieniem tych starców, którzy przed laty 50 gotowi byli przelać krew swą dla lepszej przyszłości narodu — z przypomnieniem weteranów z r. 1863. Społeczeństwo nie pozostało głuchem na nasze prośby, składki wpływały dość licznie od osób prywatnych oraz towarzystw.

Z 300 przeszło żyjących w państwie niemieckiem weteranów z r. 48 i 63 wielu znajduje się w nędzy, a stoi już prawie nad grobem; niech im ostatnich chwil życia nie zatruwa myśl pełna goryczy, że swoi o nich zapomnieli.

Są wśród nas tacy, których nie dręczy troska o chleb codzienny, niech spieszą z pomocą tym, którzy w młodości swej do ofiar gotowymi byli — tamci nie targowali się o swe życie, więc i my nie skąpmy groszy, które każe nam złożyć już nietylko obowiązek narodowy, ale i uczucie ogólno ludzkie, chrześcijańskie.

Do kasy naszej dotąd wpłynęło 19 835,98 mk. — wydaliśmy 13 890,02 mk., tak, że pozostaje nam 5945,96 mk. — suma, która tylko na około pół roku nam starczy.

Przytem zaznaczyć należy, że najwyższe stałe wsparcie, którego udzielamy, wynosi tylko 7 mk. miesięcznie, jest zatem nader skromne i starać się musimy o możność podwyższenia wsparcia w danych wypadkach. Mamy nadzieję, że społeczeństwo nasze, które już tak znacznie przyczyniło się do niesienia pomocy naszym weteranom, i nadal nie zapomni o ich potrzebach.

Usilnie prosimy tak jednostki jak i towarzystwa nasze o dalsze jednorazowe lub roczne składki na ręce niżej podpisanego skarbnika.

Komitet opieki nad weteranami.

Dr. Felicyan Niegolewski, przewodniczący.
Wincenty Niemojewski, Śliwniki, zast. przew.
Dr. Franciszek Schroeder, skarbnik,
ul. Wilhelmowska 1.
Konto czekowe w Wrocławiu 6259.

— **Odezwa.** Katolicka gmina kościelna w Wójcinie pod Barcinem należąca obecnie do kościoła parafialnego w Szczepanowie od lat 50 nie ma własnego kościoła.

Stary kościół drewniany dla lichego stanu budowlanego rozebrano w roku 1869, Wójcin obchodzi więc w roku bieżącym 50-letnią smutną rocznicę. Drzewo z starego kościoła sprzedano wówczas za 85 tal. i 20 sgr.

W czasach obecnych, gdzie obojętność w wierze coraz bardziej się szerzy, a życie religijne i przywiązanie do Kościoła upada, podwójny mamy obowiązek, pamiętać o naszych kościołach.

To też dzisiaj zwracamy się po raz drugi do wszystkich ludzi dobrej woli z serdeczną prośbą o pomoc, a za każdy chociażby najdrobniejszy datek szczerze wdzięczni będziemy. Ktokolwiek przeczyta niniejszą odezwę lub dowie się o niej, niechaj złoży kilka groszy na budowę nowego kościoła w Wójcinie, a cudowna Matka Boska Wójcińska, której obraz w kościele szczepanowskim przechowujemy, a do której parafianie i lud okoliczny wielkie mają nabożeństwo, z pewnością u Syna Swego obfite dla niego wyprosi błogosławieństwo.

Chrystus Pan powiedział: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, jeśli o co prosić będziecie Ojca w imię moje, da wam." A więc proszę w imię Jezusa, a nie wątpię, że otrzymam.

Nasze polskie przysłowie mówi, że „jałmużna nikogo nie zuboży," a prawdziwości tych słów niezawodnie niejeden już doznał.

W końcu nadmieniam, że tak parafianie moi, jak i ja w każdej mszy św. za szlachetnych ofiarodawców modlić się będziemy. Wszelkie ofiary proszę nadsyłać pod adresem

Ks. Władysław Jasiński,
Szczepanowo — Schepanowo.

Nb. Dla oszczędzenia portoryum zaleca się, ofiary kilku osób wspólnym przesyłać przekazem.

— **Zakład wychowawczy w Pawlikowicach (poczta Wieliczka) w Galicyi** w nadesłanej nam odezwie, którą dla braku miejsca zamieszczamy w skróceniu, zasyła wszystkim dobrodziejom w imieniu wychowanków najserdeczniejsze „Bóg zapłać."

„Z sprawozdań rocznych wynika — pisze w odezwie Jan Latusek, kierownik zakładu — że stan czynny zakładu wynosi obecnie prawie 100.000 koron, tj. tyle, ile w ciągu 10-letniego istnienia zakładu wynosiły wszystkie razem zapomogi i datki. Te więc nie przepadły, lecz weszły w skład stanu majątkowego, który nie jest własnością ani dyrektora, ani żadnego z jego pomocników, ale niejako całego społeczeństwa. Na wypadek bowiem rozwiązania Towarzyswa, majątek ten może być obrócony tylko na pokrewne cele dobroczynne.

Zakład utrzymując się nieomal własną pracą, nie jest ciężarem społeczeństwa, ale nadto z otrzymywanych ofiar i datków, powiększa jego stan posiadania i oddaje społeczeństwu zamiast odsetek od włożonego tu kapitału, zastępy zdrowych rąk do pracy.

Oprócz więc prośby, aby Społeczeństwo dopomogło nam do rozwinięcia tego warsztatu, w którym sami dla siebie i dla tych zastępów młodzieży, które jeszcze same zapracować nic nie potrafią — moglibyśmy zdobywać środki utrzymania — ośmielam się zanieść gorącą prośbę o pomoc doraźną. Skutkiem bowiem klęski elementarnej spowodowanej długotrwałemi deszczami i ogólną depresyą finansową, zakład nie w lepszem położeniu się znalazł, aniżeli inni obywatele, którzy, aby całkiem nie podupaść zmuszeni są oglądać się za pomocą z zewnątrz i od rządu. Położenie zakładu tem gorsze, bo nie idzie tu o wyżywienie jednostki lub rodziny złożonej z kilku osób, lecz 150 wychowanków trzeba nakarmić, okryć i zaopatrzyć na zimę. W samych zaś plonach poniósł zakład szkody na kilka tysięcy koron. Aby więc zakład mógł podołać zadaniu, zmuszony jestem prosić Szanownych Rodaków o łaskawą pomoc doraźną. Jeżeli kto z Szanownych Rodaków posiada jeszcze na listę składkową zebrane datki, raczy łaskawie nadesłać takowe wprost do zakładu."

Do Szlachetnych Rodaków! Towarzystwo „Powściągliwość i Praca" w Miejscu Piastowem, założone przez ś. p. ks. Bronisława Markiewicza w Zakładach swoich utrzymuje około 400 ubogiej i opuszczonej młodzieży, zebranej z różnych stron Galicyi, a nawet z pod innych zaborów.

Na pomieszczenie tej młodzieży Towarzystwo pobudowało domy mieszkalne i warsztaty zaopatrując takowe w potrzebne sprzęty i konieczne narzędzia i maszyny, by tym sposobem dać dziatwie możność kształcenia się w różnych działach rękodzielnictwa i przemysłu.

Budowanie domów mieszkalnych i warsztatów, oraz zaopatrzenie takowych, jakoteż utrzymanie wychowanków — zmusiły nas zaciągnąć znaczne długi. Tegoroczne zaś przesilenie ekonomiczne, dało się nam bardzo we znaki, a nadto obecne klęski elementarne wielce nas dotknęły, bo skoro cała prawie Galicya w mniejszym lub większym stopniu klęskami temi została dotkniętą, o ile więc bardziej my, którzy przeważnie tylko z dobroczynności żyjemy, to też jeżeli nie otrzymamy pomocy, to w krótkim czasie czeka nas — a właściwie kilkaset żywionych przez nas sierot niechybna ruina — bankructwo.

Zwracamy się przeto do Szlachetnych Ziomków z gorącą a usilną prośbą, by nam w tych ciężkich potrzebach naszych raczyli przyjść z szybką, a wydatną pomocą. W myśl nauki Kościoła: kto ma wiele, niech da wiele, a kto mało, niechaj się podzieli z tymi co nic nie mają; a Ten, który i kubka wody nie zo-

stawi bez nagrody, z pewnością za wszystko hojnie zapłaci.

Przykroby nam było wyciągać rękę o pomoc dla siebie, albowiem każdy z nas członków Towarzystwa nie tylko, że sam na siebie zapracuje, ale nadto jeszcze pracą swoją kilka sierot utrzymuje: prosimy tylko imieniem biednych i opuszczonych sierot.

Za Zarząd

Ks. Antoni Sobczak, prob. i człon. Tow. P. i P. **Ks. Józef Machała.**

Władysław Janowicz.

Redakcya „Pracy“ chętnie składki na ten cel przyjmuje.

— **Nowemiasto Prusy Zachodnie.** W mieście naszem odbędzie się dnia 30-go listopada r. b. o godzinie 4-tej po południu na sali na górze, (w parku miejskim) wielki Wiec Oświatowy w celu zorganizowania Towarzystwa Czytelni ludowej.

Komitet.

Nekrologia.

†**Ś. p. Franciszek Tomaszewski,** weteran z 1863-go roku, zmarł dnia 16-go b. m. w Poznaniu po długiej, sześcioletniej chorobie. Zmarły walczył pod dowództwem Mielęckiego i brał udział w kilku bitwach. Zwłoki odprowadzono dnia 20-go b. m. na miejsce wiecznego spoczynku przy udziale towarzyszów broni i członków „Sokoła“ poznańskiego. — **Ś. p. Karol Jordan,** dnia 18-go b. m. w Poznaniu, w 88-ym roku życia. — **Ś. p. z Bułakowskich Władysława Naatz,** dnia 18-go b. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Franciszek Biskupski,** dnia 18-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 68. — **Ś. p. z Jaugów Helena Jankowska,** dnia 18-go b. m. w Gnieźnie, przeżywszy lat 30. — **Ś. p. z Włódarków Agnieszka Kamińska,** dnia 19-go b. m. w Inowrocławiu. — **Ś. p. Maciej Gołębiewski,** dnia 20-go b. m. w Chełmnie, w 78-ym roku — **Ś. p. Jan Neumann,** dnia 17-go bm. w Nowymtargu (Prusy Zachodnie) w 59-ym roku życia. — **Ś. p. Edmund Jarosz,** dnia 22-go bm. w Kostrzynie w 23-cim roku życia. Pogrzeb odbył się dnia 24-go bm. w Pobiedziskach. — **Ś. p. Zdzisław Moszczeński,** syn p. Stanisława Moszczeńskiego ze Srebrnogóry, dnia 22-go bm. w Poznaniu. — **Ś. p. Julia z Frankowskich Budnikowa,** dnia 22-go bm. w Wągrówcu, w 80-ym roku życia. — **Ś. p. Adam Bresiński,** kupiec, gorliwy członek Zarządu Towarzystwa Przemysłowców w Opolu, dnia 22-go bm. w Opolu, w 38-ym roku życia. — **Ś. p. Helena Zadorska,** dnia 22-go bm. w Inowrocławiu. — **Ś. p. Stefan Colonna Walewski,** dnia 20-go z. m. Złożenie zwłok do grobów rodzinnych w Błaszkach w Królestwie Polskiem odbyło się dnia 22-go bm. — **Ś. p. z Wabulskich Franciszka Borowska,** dnia 25-go bm. w Kwieciszewie. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **P. Z. w G.** — Przy przedstawieniu się nie całuje się kobiet w rękę, chyba że chodzi o poważne matrony. Zresztą przepisu w tym względzie nie ma. Na ogół całuje się w rękę tylko mężatki i to takie, z któremi nas łączą stosunki pewnej zażyłości towarzyskiej. Osoby mniej nam znane starczy powitać ukłonem lub podaniem ręki. Żadna kobieta dobrze wychowana nie oczekuje innego powitania. Jeżeli Pan jesteś żonaty, uważaj, kto Pańską żonę całuje w rękę, abyś się jego żonie zrewanżował w ten sam sposób. Są to kwestye taktu. Reguł tu nie ma. Nie ulega wszakże wątpliwości, że my Polacy bardzo szafujemy formami galanteryi, stąd często umieszczamy je niewłaściwie.

Reklamy.

— **Katalog.** Zwracamy uwagę Szan. Czytelnikom naszym na dołączony katalog gwiazdkowy księgarni Bogdana Chrzanowskiego, który na nadchodzący sezon gwiazdkowy poleca ogromny wybór najrozmaitszych wydawnictw z wszelkich dziedzin literatury naszej. Specyalnie wypada zwrócić uwagę w katalogu na tanie dziełka, oraz wydawnictwa po wyjątkowych cenach polecane, i nowości. Następnie dział gier polskich wyróżnia się niezwykle, — mianowicie Wojsko polskie, Husarze polscy, gry historyczne, narodowe i pouczające zasługują na gorące polecenie. Łączenie przyjemności z użytecznością, oto najważniejsze zadania wychowawcze.

— **Firma Marion, Wrocławska 2,** magazyn kapeluszy damskich, otworzyła w ostatnim czasie naprzeciw swego składu drugi specyalny interes artykułów męskich (Wrocławska 40) tuż przy Starym Rynku. Rozwój obu tych firm w tak krótkim czasie jest wymownym dowodem tego, że właściciel składów wymienionych przez dostarczanie towaru jedynie wyborowej jakości przy bardzo nizkich cenach zjednał sobie zaufanie swej klienteli. — Zwracamy uwagę na anons firmy Marion i W. Borass, zamieszczony w dziale ogłoszeń. Młode to a solidne przedsiębiorstwo poleca się życzliwym względom czytelników.

Mając przed sobą **obszerny cennik znanej firmy p. M. Daneckiego z Poznania,** zaznaczyć musimy, że są tam w pięknej kolekcyi umieszczone wszelkiego rodzaju zegarki, a pomiędzy wszystkiemi, celuje p. Danecki w zegarkach z wizerunkami naszych św. Pańskich, które od szeregu lat wyrabia jako firma jedna z pierwszych ku ogólnemu zadowoleniu.

Ceny na wszelkie towary jak na zegarki, biżuteryą i instrumenta muzyczne są tam wprost bardzo nizkie, a jak z ogłoszenia i cennika widzimy, daje p. Danecki pomimo już i tak bardzo nizkich cen jeszcze **10 procent** nadzwyczajnego upustu czyli rabatu. Wobec więc tej nadzwyczaj korzystnej okazyi, a mianowicie w obecnym czasie to jest przed gwiazdką, zwracamy uwagę Szanownym Czytelnikom na ogłoszenie wzmiankowanej firmy.

Str. 1519



H. Koch.

Pogrzeb zakonnicy.

ALBUM „PRACY".

DRUKIEM „PRACY",

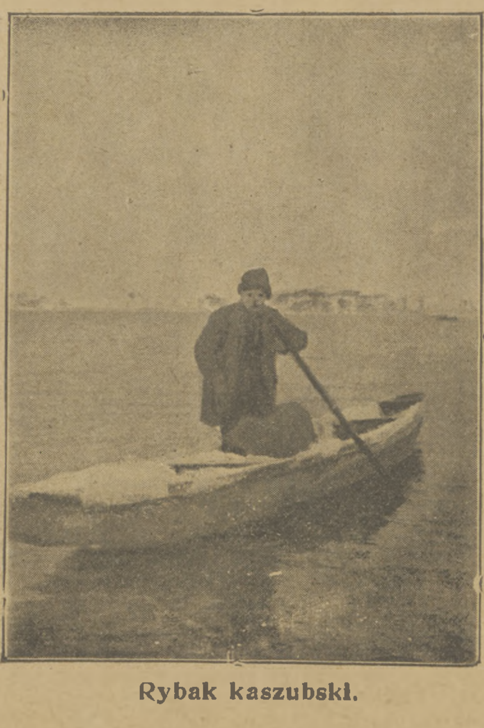
Brzegiem Małego i Wielkiego Morza.

Wspomnienia z wędrówki krajoznawczej.
Skreślił *ks. Alfons Mańkowski.*

(Ciąg dalszy.)

Zasmakowawszy w dotychczasowych wrażeniach, spuszczamy się znów za wsią Oksywiem na dół, ku brzegowi morza. Przechadzka podobna do co dopiero przebytej: znowu ciekawe formacye otwierających się ku morzu żłobów; jakiejże to masy wód trzeba było, by wyrwać tyle ziemi, rzucając się w morze! Trudno wejść w każdą parowę czyli żłób — jak tutejsi Kaszubi mówią, ale doszedłszy do szerokiego otworu, wrzynającego się daleko w głąb lądu, pokusie oprzeć się nie można. Wchodzimy. Ściany jego dość przestronnie ku górze się rozszerzają, niezbyt bujną roślinnością pokryte. Około kilometra zapuszczamy się w głąb, aby poznać i odleglejsze jego odnogi, łączące się jak konary z pniem drzewa, z głównem korytem. Wspiąwszy się na górę, widzimy całe rozgałęzienie żłobu; rzut oka na mapę okazuje, że to żłób ostrowski. Powracamy do morza, aby ulubionym szlakiem iść wzdłuż kępy oksywskiej, obecnie już z nieco lepszym humorem, bo deszcz chwilami przynajmniej oszczędza nas, zatrzymując się gdzieś w obłokach. Brzeg staje się węższym, drzewa większe i gęstsze, widok stromych stoków dzikszym; w tych warunkach przechadzka staje się milszą jeszcze, niż dotąd, bo więcej uderza dziewiczość przyrody, zainteresowanie żywsze odbija się w pytaniach i odpowiedziach, wzajemnem zwracaniu uwagi na osobliwe ugrupowania drzew, na kształt niektórych części wybrzeża... czujemy, że zbliżamy się do Babiegodołu. Ale nim doń wejdziemy, trzeba przecież z wyżyn nadmorskich użyć widoku! Koło najwyższego wzniesienia rozpoczyna się tedy przedzieranie poprzez gąszcz leśny, na stromą górę. Nielada to był trud, bo ziemia gliniasta zmiękła od długotrwałych deszczów, tak, iż czasem trzymanie się gałęzi lub stawanie na wystającym korzeniu drzewa lub na wrzosie nie dało dostatecznego oparcia. Zygzakowatym szlakiem wskutek szukania względnie dogodnego przejścia, dostaliśmy się wreszcie na górną krawędź brzegu. Oglądamy się: za nami Nowy Obluż, od niego w głąb kraju droga do Starego Obluża, przed nami nieco niżej położona gęstwina leśna, obszerną przestrzeń zajmująca. Wyraźnie rozpoznać się dają jary ze sobą połączone. Jest to t. zw. Babidół, cel licznych wycieczek odważniejszych i mniej wygodnych letników. Że warto ten największy „żłób“ bliżej poznać, zbytecznie dodawać. Doszedłszy lub raczej dobiegłszy doń, idziemy pod górę wzdłuż niego, coraz więcej oddalając się od morza; widać dość dokładnie krawędzie rozgałęzień żłobów oraz ich dziką romantykę.

Spuszczając się na dno, idziemy w głąb kraju różnemi odnogami dłuższy czas; wąwóz staje się szerszym, coraz wyżej się podnosi, las zamienia się w zagajenie lub rzednie tak, że w nim bydło pasą. Przechodzimy na drugą krawędź, okrążamy kilka odnóg, brodząc po tłustem, bo gliniastem błocie i przed drogą, wiodącą do Amalienfelde, spuszczamy się znowu na dół głównego jaru, by odtąd tymże żłobem, coraz to wyższym, ale coraz węższym i dzikszym, dojść znowu do morza. Od ujścia Babiegodołu widać hen w dali jakby półwysep, wrzynający się w morze, za nim zaś szereg domów, a wśród nich drzewo wysoko sterczące; domyślamy się, że to Rewa, cel dzisiejszej naszej wędrówki. Mając przed oczyma metę, szybciej zdążamy do niej, tembardziej, że ciekawi nas położenie wioski na ławicy piaszczystej, w morze wysuniętej.



Rybak kaszubski.

Wpatrzeni w Rewę, nie myślimy już opuszczać brzegu morskiego, gdy nowy, niespodziewany nęci nas widok: ujście żłobu, głębokiego a wązkiego. Kształt ujścia zdaje się ukrywać czar przyrody, i choć drukowane przewodniki o tym wądole wzmianki nie czynią, nie możemy się oprzeć pokusie, zachęcającej nas do wejścia. Żłób znacznie mniejszy od ostrowskiego i Babiegodołu, ale tak strome i gęsto porosłe ma ściany, że przez wązką tylko smugę do wnętrza jego dociera tylko światło. Pochód utrudniają kamienie i bryły ziemi, któremi dno zawalone; widocznie siły przyrody hulały sobie w tym zakątku z całą swobodą. Im dalej w głąb żłobu, tem wyraźniejszy charakter dziewiczości. Ciszy tu panującej nic prawie nie przerywa, ani szum fal morskich, którego tu zupełnie nie słychać, ani stąpania turysty, który, jak nas zapewniano później w Mechlince, rzadko tylko w tem odludziu błądzi. Aż żal pobiera, że wąwóz nie dłuższy, wypada tedy cofać się ku morzu. Opuszczając ten uroczy zakątek, schodzimy ostrożnie, omijając tak liczne w drodze

stojące przeszkody; pomimo to rozglądamy się na wszystkie strony, aby żaden interesujący szczegół uwagi naszej nie uszedł.

Wydobywszy się z wnętrza żłobu, najpierw staramy się wypośrodkować, jaką nazwę ma co dopiero poznany i zwiedzony żłób, ale mapa i przewodnik milczą; dopiero w poblizkiej wiosce dowiedzieliśmy się nazwy: Kalkacz czyli Kalkowe Piece. Miano to oczywiście wywodzi się od wypalania wapna, w które żłób ów niegdyś musiał obfitować. Góry nadbrzeżne zniżają się, choć są jeszcze dość wysokie, widocznie niedaleko już do północnego stoku Kępy Oksywskiej i tulącej się u jej północnego stoku wsi Mechlinki; w istocie w niewielkiej oddali widać łodzie rybackie a koło jednej z nich sporo ludzi zajętych: otóż coś dziesięcioro osób obraca kołowrot, do którego przytwierdzona lina wyciąga łódź z wody na piasek nadbrzeżny. Wioska rozsiadła nad morzem na pograniczu Kępy Oksywskiej i rozległych moczar mostowskich; wzgląd na porę podwieczorkową każe starać się o skromny posiłek i to u Trybula, którego karczma niczem się co do budowli nie różni od innych budynków mieszkalnych we wsi i jak one utrzymana jest czysto i schludnie.

W czasie dalszej wędrówki półwysep, na którym zbudowana wieś Rewa, malał coraz więcej, tak, iż wieś z wysokiem śród niej stojącem drzewem zdawała się być zbudowana na lądzie; rzut oka na mapkę wyjaśnił przyczynę złudzenia: między Mechlinką a Rewą brzeg morski zagięty ku stałemu lądowi, półwysep zaś rozciąga się w przeciwnym kierunku jako przedłużenie brzegu, którym idziemy. Słońce, które od czasu do czasu przez chmury się przedzierało, miało się ku zachodowi, gdyśmy stanęli przed Rewą; ale do wsi na razie nam nie pilno, bo ważniejszem jest obejrzenie „szperku“ t. j. długiej wązkiej ławicy, ciągnącej się w głąb morza na północ ku Kusfeldowi na Helu, a stanowiący granicę między Małem Morzem a jego częścią t. zw. wykiem puckim. Omijając wschodni koniec długiem pasmem ciągnącej się wsi idziemy przez wzgórze lekko wzniesione, na którego murawie rozciągnięte długie, wązkie sieci, napuszczone codopiero smołą dla ochrony od szkrab. Już z grzbietu wzgórza ciekawy odsłania się widok: przed nami „rewa“ czyli „szpark“, o który się łamią bałwany wzburzonego północno-zachodnim wiatrem wyku puckiego, tak iż powierzchnia Małego Morza spokojna i gładka; tylko w dalszej odległości bałwany rozhukane przerzucają się przez szperk pieniąc się z wielkim hukiem i szumem. Jedyna to w swoim rodzaju przechadzka po grzbiecie piaszczystej ławicy! Po półgodzinnym pobycie na „rewie“ powrót do wsi, gdzie po raz pierwszy spostrzegamy dom o kształcie t. zw. kurnej chaty ze szczytami u góry pionowemi, poniżej których dopiero zaczynają się szczytowe dachy pulpitowe. Pionowe części szczytów z tych czasów pochodzą, gdy nie było jeszcze kominów, a dym wychodził z chaty trójkątnemi otworami w szczytach. Obecnie, gdy od lat już wielu kominy zastępują owe otwory, dziś one obite deskami, ale pozostał sposób budowy chaty przypominając wyglądem swoim dzisiejsze kurne chaty na Podhalu. „Resursa“ w środku wsi blizko brzegu „wiku“, przed nią u wejścia stojący mężczyzna olbrzymiego wzrostu, były rybak, teraz gościnny p. Krefta. Wstępujemy tem chętniej, że chłód jest dojmujący a deszczyk ciągle pada. Z mrocznej izby gościnnej okno wychodzi na „wik“, którego „denegi“ z wielkim hukiem rzucają się na brzeg dość wysoki jak wydma. Słońce, które na chwilę się pokazało, ginie w morskiej toni. Chwila prawdziwie nastrojowa. Teraz, latem, wrażenie smętne, cóż dopiero zimą, gdy się jest zupełnie odciętym od świata! Ale gospodarz-olbrzym przeczy temu twierdząc, że gdy wik zamarznie, można jechać na nim sankami wygodniej, niż teraz lądem. Słowa szczerze wypowiedziane, lecz wędrowcowi trudno wierzyć, by tętno życia tu żywiej biło zimą. Ale tutejsi lepiej to zapewne wiedzą niż obci; zresztą każdy ze swego punktu widzenia ocenia dogodność i niedogodność pór roku.



Z nad jezior kaszubskich.

Nie taimy zainteresowania, nawet podziwu dla geograficznego położenia Rewy, którą zapewne zwiedzają liczni turyści. Odpowiedź gospodarza, że bardzo mało tu przybywa obcych panów, aby zwiedzić Rewę, wywołuje w nas pewne rozczarowanie. Rozmowa schodzi na sprawy lokalne. Ilu tu jest gospodarzy? Trzech, co mają konie, a ja czwarty. Wszyscy inni mają po kilka morgów i są rybakami. Z przewodnika drukowanego czytam nazwiska osiedlonych tu za przywilejem w 17 wieku rybaków. Gościnny słucha z zajęciem i oświadcza, że jedno tylko z odczytanych nazwisk istnieje jeszcze we wsi, mianowicie Nitzke. Co do rodziny Krebsów wówczas osiedlonej twierdzi z całą pewnością, że przemieniono je z biegiem czasu na Kreft. Możliwości tej przemiany zaprzeczyć nie można, gdyż nazwisko Kreftów szeroko rozgałęzione na całych Kaszubach; być tedy może, że wymowa miejscowa nazwisko Krebs z istniejącem oddawna nazwiskiem Kreft zrównała. Rozmowny gospodarz utyskiwał na stosunki kościelne uniemożliwiające większej części Rewian uczestniczenia w nabożeństwie parafialnem w Oksywiu; miano wybudować kościół w poblizkim Pierwoszynie, lecz dotąd jeszcze władza kościelna życzenia parafian nie uwzględniła, zapewne dlatego, że w ostatnich czasach w obrębie parafii przy kościele filialnym w Chylonii ustanowiono osobnego duszpasterza. „Sam Pan Bóg nie może żądać, żeby tak daleko aż do Oksywia ludzie mieli chodzić do kościoła“, tak kończy swoje utyskiwanie.



Kaszubka plecie sieci.

Tymczasem stawiają wieczerzę na

stole: pieczone szczupaki z „bulewkami" i piwo gdańskie. Jadło i napitek dobre i smaczne. Zadowoleni pytamy się przed pójściem na spoczynek o drogę do Pucka na następny dzień; niestety brzegiem iść nie można dlatego, że ujścia kanału i rzek nieprzebyte dla braku mostów, trzeba tedy się cofać do wsi Mostów i stamtąd okrążyć t. zw. Mostowskie moczary szosą, dopiero koło Brzeźna i Osłanina można się zbliżyć do morza. Lecz uprzejmy gospodarz zna sposób skrócenia sobie drogi; wtajemniczeni znają ścieżkę („stegnę") przez bagniska i torfniaki do Brzeźna; wyśle jutro chłopaka swego jako przewodnika, który doskonale stegnę zna. Odetchnęliśmy i pokrzepieni tą dobrą nowiną kładziemy się do snu w „dużej izbie" tj. lepszym prywatnym pokoju gospodarza, gdzie nam nocleg przygotowano.

Słoneczny poranek następnego dnia był bardzo miłym kontrastem do swego poprzednika z przed 24 godzin; to też z lepszą otuchą i nadzieją odbywało się przygotowanie do dalszej podróży, choć ubranie i obuwie z powodu panującego chłodu niezupełnie zdołało uschnąć. Po pożegnaniu się z gospodarzem, który za sutą kolacyę, nocleg i śniadanie zażądał tylko 1 mk. 60 fen. na osobę, rozpoczęła się dalsza podróż. Pastuch był nam przewodnikiem przez moczary mostowskie; „knop" 15-letni szybko zwijał nogi, a choć ścieżki po grzązkich łąkach były wydeptane i niewydeptane, proste i gzygzakowate, suche i podmokłe, przez rowy nawet wiódł wędrowców opiece jego powierzonych. Znacznem półkolem okrążamy głęboką zatokę między Rewą a maleńką osadą nadmorską Beką. Krajobraz zupełnie odmienny od wczorajszego. Rozległe moczary dozwalają oku objąć szeroką równinę zamkniętą lesistem Dębogórzem na Oksywskiej Kępie, za którem niestety nie widna historyczna Rumia; przed borami i górami wejherowskiemi kościół redzki ze strzelistą wieżą panuje nad całą równą okolicą; wzgórze lesiste Puckiej Kępy zamykające widnokrąg za Redą i Ciechocinem, ciągną się ku morzu do Brzezina i Osłanina, gdzie strome ich zbocza tworzą wybrzeże. Brzezino na stokach wzgórz tarasowato zbudowane, malowniczo się przedstawia; szosa od Redy wzdłuż tego łańcucha wzgórz biegnąca przed Brzezinem wspina się wężową linią w górę, bo tu zaczyna się Pucka Kępa, wysoka i stromo ku morzu spadająca; na wschód morze opromienione słońcem, lśniące niezliczonemi kryształami fal, tak, iż nie można powieść po niem okiem.

Chłopak-przewodnik wykonawszy zlecenie swego chlebodawcy, staje nad brzegiem rzeki Redy, ogroblonej, wartkim prądem dążącej ku morzu; otrzymał dobrze zasłużoną zapłatę i wraca do Rewy,



Prastary dąb na Kaszubach.

gdy tymczasem my w górę rzeki idziemy do poblizkiej wyż wzmiankowanej szosy, którą przecież już po kwadransie znowu opuszczamy, aby przy Bożej Męce przed Brzeźnem u stóp wzgórz stojącej, skręcić na polną drogę wiodącą do Osłanina. Droga wygodna, pogoda sprzyja, szkoda, że na pola nieszczególny widok, bo otóż jeden z gospodarzy pokazuje nam porosłe kłosy zczerniałego żyta, którego znaczna jeszcze część na polach, nawet na pniu! Dziwna gdzieniegdzie sprzeczność: obok siebie dwa łany owsa, jeden dojrzały zupełnie, drugi zielony jeszcze. Droga coraz bliżej wiedzie do brzegu morskiego, po jej prawej stronie równe pola i łąki, po lewej wzgórza. Nareszcie dobijamy do Osłanina, majątku należącego do klucza rzucewskiego. Domy jak w Brzezinie porozstawiane na całej pochyłości wzgórza. Gospoda („akierbuda") Piątka, do której się idzie przez kładkę na stawie młyńskim, skromna, ale schludna i zaopatrzona w potrzebne dla podróżnych środki pokrzepiające ciało a tem samem i ducha; gospodarz, czystej krwi Kaszuba, mówi miejscowem „belockiem" narzeczem.



Przed chatą kaszubską.

Znajdujemy się znowu na brzegu morskim, nie tak wysokim jak na Oksywskiej Kępie koło Radłowa i Oksywia, ale tworzącym podobne do tamtych osobliwe kształty. I tu miejscami ściany stromo w morze wpadające; pod niemi rozrzucone gęsto w morzu a wystające nad powierzchnię głazy narzutowe świadczą o tem, że brzegu ubywa wskutek ustawicznego podmywania przez fale morskie; indziej góry aż pochylone nad morzem i drzewa nad niem powyginane, tak iż mimowoli jaknajszybciej się przebiegnie wązkim przesmykiem między górą a morzem, albo nawet zdradliwe to miejsce ominąć wypada wdrapaniem się na górę i spuszczeniem się po tamtej jego stronie. Dwa szerokie, lesiste żłoby uchodzą do morza; opodal drugiego na miejscu zasłoniętem od dość silnego wiatru wypada nam odpocząć i na słońcu trochę się wygrzać. Odtąd wybrzeże ku Rzucewu tworzy odcinek koła ku morzu otwartego, widać więc wyraźnie chaty stojące na tamtejszym przylądku. Przy takim widoku pięknym odpoczynek przyjemny, ale wzgląd na daleką jeszcze dziś drogę, nie pozwala zbytnio go przedłużać.

Jeszcze na osłomińskiem, jak się zdaje, terytoryum widać w lesie powyrębywane do przechadzki chodniki; wkrótce się przekonywamy, że się łączą z chodnikami w parku rzucewskim; jakoż wogóle widocznej między obydwoma granicy nie ma. Niedaleko już do łazienek i pomostu z kolejką na wyładowanie dla frachtów służącego; oczywiście w pobliżu musi być dwór i zabudowania gospodarcze. Zbaczamy z brzegu do parku, a to, co tu widzimy, przechodzi nasze oczekiwanie. Na terenie pagórkowatym wężowe linie chodników wijące się tuż nad brzegiem i przez cały park koło drzew starych (lip) pamiętających niewątpliwie czasy, gdy tu chadzał bohater z pod Lwowa, Chocima i Wiednia i między młodszemi drzewami w znacznej części z innych krajów sprowadzonemi. Najciekawszą jest stara, pyszna czterorzędowa aleja lipowa w najnowszym czasie słusznie nazwana aleją Jana Trzeciego, skoro historyczną jest pewnością, że król bohater tu przebywał. Najprzedniejsza to ozdoba, klejnot najcenniejszy tej prastarej siedziby królewskiej i magnackiej. Mnóstwo prócz tego innych szczegółów romantyki przykuwającej wzrok do siebie, np. owe stare rozłożyste olbrzymie drzewo przy ganku nadbrzeżnem, stanowiące jako naturalna altana nie tylko wymarzone miejsce wypoczynku, ale i widoku na dalekie morze. Przez drzewa prześwieca czerwoność pałacu; nie wabi on pięknością architektury, która mimo jednej większej wieży o czterech mniejszych wieżyczkach i wysuniętej przybudówki zbytnio przypomina pruski styl koszarowy. Park starannie

utrzymywany; kilka kobiet w nim pracujących nieśmiało odpowiada po kaszubsku na polskie zapytania, snadź na tem miejscu nie przywykły do rozmowy polskiej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pomimo klęsk . . .

Pomimo klęsk, upadku, łez,
Pomimo mroków strasznych cień,
Ja w naszej męki wierzę kres,
W zmartwychwstań dzień.
Więc nie z piołunów pełnej czary,
Z nadziei pragnę pić kielicha,
Z tryskającego źródła wiary,
Gdzie miłość cicha.
Chcę w dzieci tchnąć uczucia te,
Rozpalić w sercach jasną moc,
By w hart zbroiły dusze swe,
Zwalczyły noc.
Nie mnie jest dane czynić wiele
I tylko mogę siać okruchy
I ucząc kochać wyższe cele,
Wieźdź młode duchy.
Bo kocham, kocham ten mój krąg,
Ten mój maleńki, młody świat,
Ten najwonniejszy naszych łąk:
Nadziei kwiat...

Paula Wężyk.

Dział rolniczo-gospodarczy.

Pamiętajcie zawczasu o zwierzynie.

Wkrótce zawieją zimne wichry na polach i w lasach zniszczą to, co jeszcze pozostało, ostatnie trawki i zioła. A dla zwierząt żyjących na wolności zaczyna się czas głodu i niebezpieczeństwa, bo oprócz braku żywności grożą im jeszcze zimno i zwierzęta drapieżne.

Gdy w dawniejszych czasach nie wyzyskiwał rolnik każdego kawałka ziemi, nie cierpiała zwierzyna głodu tak jak dzisiaj, gdzie wszystko jest zaorane i korzyść przynosić musi. Na ugorach rosły rozmaite dzikie kwiaty i rośliny, które dawały zwierzynie zimą pożywienie i nawet schronienie. Ale rolnicy zabrali im jedno i drugie i utrudniają im życie w rozmaity sposób. Pamiętać jednak powinni, że korzyści te nakładają też na nich pewne obowiązki, z których pierwszym jest ten, aby w zimie, gdy zwierzęta nie mają co jeść, dać im potrzebną żywność, tem więcej, że im się to znowu opłaci hojnie. Bez ludzkiej pomocy nie mogłaby zwierzyna istnieć w dzisiejszych warunkach. Rolnicy, nie będący myśliwymi, twierdzą, że żywienie zwierzyny w zimie jest obowiązkiem dzierżawcy polowania lub jego właściciela, oni bowiem mają korzyść, połączoną z przyjemnością.

Właściciel polowania nie ogląda się też pewnie za obcą pomocą, inaczej jednak ma się rzecz na terytoryum wydzierżawionem. Tu powinien, oprócz dzierżawcy, i sam właściciel pola dbać o dobro zwierzyny, im więcej bowiem jest zwierzyny, tem więcej może żądać za polowanie. Więc i tu opłaci się dawać zwierzynie w zimie żywność i schronienie.

Nie można jednak żądać od gospodarzy, nie trudniących się polowaniem, aby stale żywili zwierzynę, a przecież mogą dbać o nią, nie wydając ani grosza na to.

W podwórzu i na polu znajdują się liczne odpadki — w gospodarstwie nie można ich zużyć, lecz zwierzyna chętnie się niemi pożywia w zimie.

W pierwszej linii są wyrosłe buraki. Cukrownie zakazały pod karą dostawu wyrosłych buraków, bydło w oborze nie chce ich również, a w kopcach pomiędzy strużynami i liściem, nie trzymają się wcale. Niezużyte leżą na polu tak długo, aż je się pod ziemię jeszcze przed zimą zaorze.

Takie buraki można doskonale zużyć dla zwierzyny, zostawiając je przez zimę na polu. Sarny, zające i króliki ogryzają łykowate buraki aż do łodygi.

Najlepiej zbierać buraki w większe kupki — buraki do środka, tak, aby łodygi tworzyły ochronę od mrozu i śniegu. Gdy śnieg pada, są korzenie suche, a zwierzyna znajdzie je łatwo; odgrzebując kopytkami śnieg i torując sobie do buraków drogę.

Dla bażantów i innych ptaków niema lepszej żywności jak poślad z pod młockarni, zawiera on bowiem miliony ziarnek wszelkiego gatunku zielska, które ptaki wolą więcej, niż czyste ziarnka zboża. Oprócz tego są w pośladzie i liche ziarnka zboża. Nie jest to wielkim dla gospodarza trudem zebrać ten pośląd i schować go na zimę. Potrzeba tylko zsypać pośląd na wysoką kupę, nakryć ziemią, a gdy zimą śnieg pada, wywieźć go jako nawóz na łąki.

Niewyrosłe albo nadpsute główki kapusty znajdują się na każdym zagonie; zamiast je zaorać lub w inny zniszczyć sposób, odrzucać je na stronę na zaorane już pole, lepiej zaś jeszcze korzenie worać lekko.

Takiemi drobnostkami można niejedno zwierzę uchronić w zimie od śmierci głodowej.

* * *

Tuczenie świń kartoflami.

Pomimo wysokich cen używa ich niejeden gospodarz do tuczenia świń, a przynajmniej jako ważnego dodatku do innej paszy. Pozostałe z przebranych kartofli, małe i niepozorne, a zatem tanie, nadawają się do tego bardzo dobrze. Zawarte w kartofli materye pożywne, mianowicie mączka i cokolwiek białka, służą doskonale żołądkowi świni.

W latach, w których się kartofle obficie obrodziły i ztąd w cenie spadły, trzeba tuczyć niemi świnie, jest to bowiem najlepsze ich zużycie. Im więcej kartofli tem większe wymagania mają kupujący. Wskutek tego trzeba je o wiele staranniej przebierać i sprzedawać tylko najlepsze. Ale tem więcej jest odrzuconych i temi trzeba tuczyć świnie. Niektórzy twierdzą, że przy cenie 1,50 mk. za centnar jeszcze jest korzystnie dawać je trzodzie. Jeżeli mięso wieprzowe ma jaką taką cenę, to twierdzenie to zupełnie jest słuszne, nawet jeżeli centnar kartofli kosztuje dwie marki i cena mięsa wieprzowego nie jest zbyt nizka, to zawsze jeszcze opłaci się tuczenie świń kartoflami.

Przy wysokich cenach kartofli, a średnich lub nizkich cenach jęczmienia zaleca się naturalnie tuczenie śrótem jęczmiennym, ale jeśli się kartofle dobrze obrodziły i w cenie spadły, to znów tuczenie kartoflami jest korzystniejsze. Jest to o tyle lepsze, że można zużyć pośledniejsze kartofle i nie potrzeba sprowadzać zagranicznego a dosyć drogiego jęczmienia na paszę.

Kartofle jednak za mało mają mączki, aby wyłącznie tuczyć niemi świnie. W małych gospodarstwach tuczą tylko kartoflami, lecz metoda ta jest zupełnie fałszywa i można ją wyzyskać o wiele lepiej dodaniem innej jeszcze paszy, naprzykład śrótu jeczmiennego i zbieranego mleka, licząc na 100 funtów ciężaru żywego 6 funtów kartofli, 2 funty śrótu jęczmiennego i 4 litry zbieranego mleka. Jeżli żyto tanie, można część jęczmienia zastąpić żytem.

Jeżeli chodzi o to, aby tuczniki rosły, to tucząc je przeważnie kartoflami, należy dodać do nich cokolwiek wapna, dlatego, że w kartoflach bardzo mało jest zawartości wapna. Wystarcza zupełnie dawać trzy lub cztery razy w tygodniu 15—20 gramów wapna, licząc tyle na każdego tucznika. Kartofle powinny być gotowane lub parowane i zmieszane z śrótem, tworzy to gęstą masę, którą tuczniki źrą bardzo chętnie.

Dobry przykład więcej uczy niż najpiękniejsze słowa, za przykładem się idzie, a nie za słowami.

* * *



J, Fałat. **Łowy.**

Z królestwa mody.

Gdy w jesieni zrzucają drzewa znoszone liście i oddawają je na łaskę i niełaskę wichrom, wtedy widzimy jak unoszone w szalonym wirze jeszcze pięknemi lśnią kolorami w promieniach słońca jesiennego.

Te kolory zamierającej przyrody przyswaja sobie moda i oddaje je na usługi ciepłych kostyumów, praktycznych, eleganckich i nadających się tak do przechadzki w słoneczne dni jak i do chodzenia po mieście podczas mgły i deszczu. Modne więc kolory są: bronzowy w wszystkich odcieniach, matowy ciemnozielony, czerwono-bronzowy i zielonofioletowy, a wszystkie te kolory są wiernem naśladowaniem kolorów spadających liści.

Ale zresztą sprzeniewierzyła się moda naturze, z którą przeszłego roku tak ściśle była złączoną. Prosta linia nie istnieje już, figura musi być teraz zaokrągloną.

Mówiliśmy dawniej już o tem, że zmodernizowana mała krynolina psuje wysmukłość i że podpięcia w rodzaju „panier" i fałdy na przodzie sukni oraz wszelkie inne podpięcia uwydatniają elegancyę tualety. Jeżeli początkowo zdawało się, że moda zajęła się głównie tualetami wieczorkowemi, balowemi itp., a zaniedbała zupełnie suknie skromniejsze i kostyumy, to jednak trzeba teraz przyznać, że i kostyumy weszły na nową zupełnie drogę.

I tutaj skończyło się panowanie prostej linii. W porównaniu do skromnych przeszłorocznych ubrań kaftankowych, są tegoroczne bardzo skomplikowane i rozmaite, dzięki miękkim materyom, które łatwo można marszczyć, podpinać i układać w fałdy. Najmodniejsze materye na kostyumy są velours duvetine, rypsowany velours de laine i aksamit angielski.

Luźne, półdługie i udrapowane kaftanki, składające się z jednego tylko kawała materyi, wyglądają zwykle tak, jak gdyby były za obszerne, i jak gdyby dama, nosząca je, drżała z zimna w tem za szerokiem okryciu; zakładają się szeroko jedna na drugą, i kołnierzyk bardzo jest wysoki. Wyłogi, bez których się dawniej kaftanek nie mógł obyć, znikają teraz zupełnie, aby nie zakrywały garnirowania bluzki lub stanika. Kołnierze kaftanków są prawie zawsze futrzane — na plecach w czterokąt ułożone i zakończone w przodku wązkiemi paskami. Czasem kończą się już na ramionach.

Rękawy, tworzące zresztą nieprzerwaną całość, mają krój prosty, ściągnięty przy ręku ciasnym paskiem futerka i rozpadające się potem w falbanę, sięgającą aż do palcy. Takie same falbany znajdują się też często u dołu kaftanków, albo sute, albo też zupełnie płaskie, w tyle dłuższe, odpowiednie zawsze do falban sukni. Poły kaftanków są obecnie o wiele dłuższe niż dawniej — często widać kaftanki w stylu directoire, z przodku krótkie, jak zamknięte bolero, i zasznurowane, w tyle jak frak przedłużone. Bardzo modne są zawsze jeszcze kaftanki nizkie, których poły często przesadnie są długie i szerokie. Pasek jest poniżej bioder.

Spódniczki kostyumów są w pasie też jeszcze o kilka centymetrów wyższe ponad właściwym pasem, skromne mają na dole dwa metry szerokości i fałdy są układane zupełnie gładko.

Młode damy lubią bardzo spódniczki z wolantami, składające się z trzechpiętrowych wolantów gładkich — starsze wolą tiuniki o długich końcach, z których dłuższy jest szeroki, krótszy zaś futerkiem oszyty. Futerko musi być na każdym kostyumie!

Elegancki kostyum kaftankowy, w którym można składać wizyty i bywać na five'o clockach, jest w tym roku wytworniejszy i fantastyczniejszy niż dawniej. Obszerny, luźny kaftanek jest zwykle niezależny od spódniczki, i tak — jeżeli jedno jest z velours-duvetine, to drugie może być aksamitne, — materye są zatem rozmaite, lecz kolor ma być ten sam. Na spódniczce niema futerka, na staniku zato i na kaftaniku są zwykle wązkie pasy, na niektórych nawet bardzo szerokie, futrzane kołnierzyki, sięgające aż do ramion.

Przód stanika składa się zwykle z jedwabnego muślinu i jedwabnego voi-

lu — stanik sam tworzy otwarte bolero z kołnierzem Medici. I jedno i drugie obszyte musi być futerkiem.

Ważną też rolę odgrywa w bieżącym sezonie westka. Zajmuje ona miejsce dawniejszych trykotowych lub igliczkowych angielskich kaftanków. Kaftanki te bardzo były praktyczne, lecz nie wyglądało dobrze, gdy panie, zdejmując okrycie, ukazywały się w białych kaftankach, które wkładały na lekkie, cienkie bluzki. Że zaś moda zawsze jeszcze nie pozwala na noszenie ciepłych staników, przeto wymyślono owe westki, podobne do męskich, ciepłe i bardzo ładne. Używa się na westki zwykle materyi w dwa kolory, najładniejsze jednak są sukienne, jasne, obszywane taśmą i zapinane na jeden rząd guzików. Stosownie do sukni mogą być kolorowe aksamitne, lub takie, jakie kto lubi. Mogą być nawet westki z rękawami, lecz rękawy muszą być z innej materyi, naprzykład jedwabne u westki aksamitnej. Panie jednak nie lubią takich — i rzeczywiście, ładnie to nie wygląda. Szczytem dobrego gustu są westki z brokatu z rękawami, zapinane wysoko i zaopatrzone miękkim wykładanym kołnierzem. Ale westki te są szalenie drogie i łatwiej nieraz kupić całą suknią, niż taką westkę!

Paryżanka.

Z dziedziny hygieny.

Szkodliwość nadmiaru białka w ustroju.

Wiadomo jest ogólnie, że potrzeba człowiekowi do odżywiania się pewnej regularnej ilości białkowiny. Świadomość ta jednak spowodowała różne szkodliwe nieporozumienia: zaczęto częstokroć przeceniać znaczenie białka dla ustroju i polecanie potraw, zawierających dużo białka, stało się w wielu razach zbyt jednostronne.

A przecież wszelkie trapiące ludzkość choroby zakaźne i nagminne, jako też cierpienia, pochodzące ze zwyrodnienia, są skutkami pożywienia zbyt obfitującego w białko; ono bowiem, jeśli człowiek mało używa ruchu i nie dość wydatnie oddycha, krew mu psuje. Albowiem część spożytych w zbytniej ilości i „nie spalonych", to jest nie strawionych potraw białkowinowych, przechodzi w stan rozkładu, gnicia, a materye te gnilne są przyczyną śmierci wielu osób dorosłych i dzieci.

Szkodliwość nadmiaru posilnego pożywienia ujawnia się przecież i w życiu roślin, uprawianych przez człowieka. Ziemniaki, winogrona, buraki itd. nieraz ulegają chorobom zakaźnym wskutek tego, że zadużo podłoże ich mierzwiono; podobnież niejedna choroba wśród zwierząt domowych jest skutkiem przetuczania.

Kto chce zachować zdrowie, ten nie powinien jadać zbyt dużo potraw białkowatych, a zato jadać obficie soczyste owoce! Mączka bowiem, cukier, tłuszcz i kwasy owocowe są źródłami ciepła, pokładów tłuszczu w ciele, energii życiowej. Gdy ktoś więcej spożywa cukru, mączki lub tłuszczu, aniżeli ustrój jego potrzebuje, niewiele zrazu na tem ucierpi, gdyż materye te układają się w ciele warstw tłuszczowych, te zaś, dopóki są w mniejszych rozmiarach, nie powodują zaburzeń.

Gdy ktoś jednak spożyje zadużo białka i zatrzyma je niestrawione w ciele szkodzi mu to zaraz. Białko niestrawione tworzy jady, które zalegają w skórze, w mózgu i we wszystkich tkankach. Wytwory przemiany białka są bardzo jadowite, wytwory przemian mączki, cukru i tłuszczu nie powodują szkód w ustroju, gdyż pozostałościami tych przemian są kwas węglowy lotny i woda. Kwas ów płuca wydzielają bez trudu.

Wśród jadów, będących wynikami przemian białka niestrawionego, najwięcej znany jest kwas moczowy. Ale są jeszcze inne, jadowitsze, zwane ksantyną, hypoksantyną, adeniną, guaniną itd.

Jady, z przetworów niestrawionego białka pochodzące, czynią człowieka znużonym, choć się nie wytężał cieleśnie, czynią go drażliwym, niechętnym do pracy; z czasem u osób, wciąż wprowadzających do ustroju zbyt duże ilości białka, wytwarza się stały stan chorobliwy.

Człowiek istnieć może i być zdrowy, choć mało spożywa białka. Tem mniej go potrzebujemy (od 25 do 30 gramów), im rozsądniejsze prowadzimy życie, to jest im mniej białka z ciała wydalamy, względnie niszczymy je jadami używek podniecających, jak alkohol, kawa, tytoń, jako też gwałtownemi namiętnościami, wyuzdaniem płciowem itd., tem mniej też potrzebujemy białka, im doskonalszy jest chemiczny skład spożywanej białkowiny. Oczywiście istnieją setki najrozmaitszych materyj białkowinowych. Najcenniejsze są te, które nam przyroda słońcem przygotowała w owocach drzew, dalej następują białkowate materye owoców łuskowych, korzonków i t. d. Im dłużej potrawy gotujemy, prażymy, pieczemy, tem więcej związki białkowe przechodzą w niższe, mniej pożyteczne dla zdrowia; najłatwiej stosuje się do ustroju ludzkiego białko surowych owoców, najwięcej przy trawieniu wywołuje energii.

Wiadomo, że krew i soki ustroju łatwiej ulegają chorobom zakaźnym, są wygodnem podłożem dla różnych bakteryj, gdy zamało zawierają soli alkalicznych, a że przytem dają ustrojowi najlepsze białko, powinny stanowić główne pożywienie.

Zważywszy, iż wydzielanie kwasu moczowego odbywa się najwydatniej rano, należy owoce, popierające to wydzielanie, spożywać rano i w południe, inne zaś potrawy białkowate, jak mleko — ku wieczorowi.

Rozumie się, że i tu, jak we wszystkiem, zachować powinniśmy należyte umiarkowanie. Wogóle jeść powinniśmy tylko wtedy, gdy jesteśmy głodni. Przytem zważać trzeba na należyte żucie potraw.

Osławione więzienia.

Gdzie jest wina tam i kara być musi, lecz w wszelkiej wymierzonej karze powinna być sprawiedliwość. Tymczasem nie zawsze tak było, jest i będzie; często idzie siła przed prawem i absolutyzm przed sprawiedliwością. Człowieka, który dawniej w uzasadnionej dążności za wolnością stawiał opór lub w inny sposób wzbudzał niezadowolenie władzy, pozbywano się bardzo prędko pod pozorem, że bezpieczeństwo państwa tego wymaga. Z skalistych zamków, pałacy i kazamatów minionych stuleci, rozlegają się bolesne westchnienia i jęki tych, którzy stali się ofiarami takiej despotycznej bezwzględności. Ponure, wstrząsające obrazy stawają nam w myśli — wysokie wieże, ciasne cele, ciemne sklepienia, podziemne lochy, a w nich w straszliwej samotności człowiek, któremu słońce nie świeci, który żadnego już nie dozna szczęścia i któremu na jego łzy i mękę nie odpowie żaden głos ludzki. Dni, miesiące i lata mijały wolno, lecz żelazem okute drzwi nie otworzyły się: więzień był żywcem pogrzebany, umarły dla świata!

Tower w Londynie, Bastylia w Paryżu, zamek Chillon nad Jeziorem Genewskiem, ołowiane cele w pałacu dożów w Wenecyi, Gród Anielski w Rzymie, kazamaty rosyjskiej twierdzy Schlüsselburg, sklepienia w Serai w Konstantynopolu— wszystkie te więzienia miały swoich męczenników.

O Towerze, wznoszącym się ponuro i groźnie nad Tamizą w wschodniej części Londynu, można powiedzieć, że dużo stron jego kroniki, tylko krwią jest zapisanych. Wokoło Białej Wieży, potęż-

nego, czworokątnego gmachu, o murach mających 3—4 metrów grubości, a wzniesionego w r. 1078 przez Wilhelma Zdobywcę, stoi w pewnej odległości dwanaście innych wież, a w każdej z nich rozgrywały się dramaty i epizody strasznych cierpień i rozpaczy. Królowie i królowe, książęta i księżniczki, mędrcy, rycerze i odważni wyznawcy swego przekonania — wszyscy przebywali tu w ponurem więzieniu dopóty, dopóki topór kata nie zakończył ich strasznej męki. Rzadko kiedy wypuszczono ztąd kogoś na wolność!

W r. 1405 musiał król szkocki, Jakób I. zamieszkać w Białej Wieży — tak samo i za panowania Elżbiety przepędził tam długie lata genialny historyk i poeta sir Walter Raleigh. W tak zwanej Bloody Tower, czyli „krwawej wieży" leżały długo kości dwóch młodzieńców, których „kochający" wuj, król Ryszard III. kazał tu zamordować w r. 1483 — byli to bracia: król Edward V. i Ryszard.

O wieży Bowyer istnieje podanie, że w niej utopiono w beczce wina księcia Clarence, brata Edwarda IV. W Bell Tower zaś, czy w wieży dzwonów, przebyła młoda Elżbieta kilka lat, zanim ją ogłoszono królową. Umieściła ją tam siostra jej i największa nieprzyjaciółka, Marya. W wieży Brick przepłakała lady Jane Grey, mianowana następczynią Edwarda VI., całą swoją młodość, aż ją nielitościwa Marya Tudor ściąć kazała. W sąsiedniej wieży Beauchamp był więziony mąż jej, lord Dudley Grey, jego ojciec i bracia, z których jeden poniósł śmierć także z ręki kata. Na ścianach wieży są jeszcze do dziś rozmaite napisy nieszczęśliwych Greyów i innych ofiar. W Towerze ścięto Annę Boleyn i Katarzynę Howard, żony Henryka VIII., tak samo i hrabiego Essex. Niektórzy więźniowie, jak np. lord kanclerz Tomasz Morus, który nie chciał przystać na rozwód króla z Katarzyną Aragońską, piękna hrabina Shrewsbury, i kilku jeszcze innych zostało ściętych poza Towrem. Później przewożono skazanych na śmierć do Whitehall. Ale ostatecznie prawo zwyciężyło potęgę i rola krwawych wież dawno już jest ukończoną.

Tak strasznych wspomnień jak Tower nie ma nawet paryska Bastylia. Niektóre więzienia wprawdzie tego gmachu, zbudowanego w XIV wieku przez Karola V. są poprostu nieludzkie; osławione „cachots", leżące sześć metrów pod ziemią, nie były niczem innem jak okropnemi lochami, gdzie z ścian spływała woda i gdzie wieczna panowała ciemność. Kto kilka tygodni tam przebył, ten był stracony na zawsze. Ale nie wiele więźniów wychodziło stamtąd na wolność, mianowicie za czasów Ludwika XIV., który kazał umieszczać tam każdego, podejrzanego o zdradę lub szpiegostwo. Nie wiele lepiej działo się za panowania Ludwika XV., na jedno skinienie jednej z jego przyjaciółek wpychano niewygodnego człowieka do „cachots" — i tam znikał na wieki. Bez sądu, bez badania, obrony i wyroku! Zwyczajna karteczka z miarodajnym podpisem t. zw. lettre de cachet", była owym tajnym dokumentem, na mocy którego pozbywano się ludzi.



Siostry.

Najsławniejszym więźniem Bastylii był ów „człowiek w żelaznej masce". Więziony aż do roku 1698 w Pignerol na wyspie św. Małgorzaty, został, pewnie dla większego bezpieczeństwa, przewiezionym do Bastylii i oddanym tu pod szczególną opiekę komendantowi Saint-Mars. Pomimo, że obchodzono się z nim z pewnym szacunkiem i znaczne mu robiono ustępstwa, nie zniósł więzień pobytu w Bastylii i umarł już w r. 1703. W księgach więzienia zapisany jest pod nazwiskiem „Marchiel", ale prawdziwe jego nazwisko pokryte jest niezbadaną tajemnicą. Nigdy nie było mu wolno zdejmować czarnej maski, która zresztą nie żelazną, tylko aksamitną była i z nikim, oprócz z panem Saint-Marsem nie było mu wolno rozmawiać. Był to człowiek żywy-umarły. Niektórzy historycy twierdzą, że to był brat Ludwika XIV., inni znów, że jego syn. Najpewniejszem jednak jest, że był to Mattioli, minister księcia Karola Ferdynanda Mantuy. Zdradził on Francyę, schwytano go i ukarano w tak straszliwy sposób. Ale jest to też tylko przypuszczenie tak jak wszystkie inne — prawdy nikt się nie dowie.

Z początkiem rewolucyi, dnia 14 lipca r. 1789 zburzył lud Bastylię. Nienawiść, jaką Francuzi mieli do tego gmachu, okazała się dnia tego w całej pełni — dozorców wymordowano, gubernatora również i ogromny budynek zrównano z ziemią.

Jak Anglia i Francya tak i Włochy

mają więzienia, wzbudzające wstręt i grozę. Królowie i panujący książęta nie wiele sobie onego czasu zadawali trudu z ludźmi, których chcieli usunąć. Położony obok Watykanu „Gród anielski", dawniejszy grobowiec Hadriana, był już twierdzą obronną w r. 537, gdy Teoderych, król Gotów, napadł Rzym. Grodem anielskim zowie się gmach ten od czasu, kiedy papież Grzegorz Wielki w VII. w. kazał tam postawić figurę archanioła Michała, na podziękowanie za odwrócenie od miasta dżumy. Kryty ganek łączy budynek ten z Watykanem — gankiem tym uciekał papież Klemens VII., gdy Karol Burboński zdobył Rzym. Później zamienili królowie Gród anielski na więzienie. Grube mury, mocne bramy i ukryte, tajemne pokoje — wszystko to nadawało się doskonale na ten cel. Jednym z pierwszych więźni był kardynał Caraffa, który też już nie wyszedł ztamtąd. Innymi sławnymi więźniami byli: przełożony zakonu Jezuitów Ricci, wytworny oszust Cagliostro, i setki lat wcześniej Benvenuto Cellini.

Gorszem więzieniem były ołowiane izby na pałaców dożów w Wenecyi. Były to cztery ciasne, pół ciemne cele, tak nizkie, że więzień głową dotykał sufitu. Sufit ten zaś był ołowiany i słońce wprost na niego świeciło. Sufit ów tak więc był rozpalony, że więzień od gorąca przytomność tracił. Niejeden oszalał z męki okropnej, inni popełniali samobójstwa. Ale Rada Dziesięciu, a później Rada Trzech nie zważała na nic — piekło to zawsze było zapełnione nieszczęśliwymi męczennikami.

To samo można powiedzieć o zamku Chilon nad Jeziorem Genewskiem. Twierdza ta, zbudowana w 13 stuleciu, tworzy z swemi lśniąco białemi murami, cudny obraz na tle skał, oblanych falami jeziora. Ale w murach tych rozegrał się niejeden straszny dramat. W skałach i głęboko pod powierzchnią jeziora, znajdowały się sklepienia, wilgotne, ciemne lochy, w których hrabiowie, a późniejsi książęta Sabaudyi kazali umieszczać niebezpiecznych więźniów. Do tych należał też ów Franciszek de Bonvard czyli Bonnivard, który bronił niepodległości obywateli genewskich i podburzał ich przeciwko księciu Karolowi III. Byron wybrał go na bohatera swego opowiadania „Więzień w zamku Chilon". Po długich latach wyswobodzili go mieszkańcy Berna w r. 1536, i gdy wrócił do Genewy, znalazł miasto wolne i niepodległe.

O okropnościach, jakie się działy w rosyjskiej twierdzy Schlüsselburgu, możnaby tomy całe pisać. Synowie kazali tam mordować rodziców — rodzice synów — tak, jak wogóle historya dworu rosyjskiego krwią jest pisana. Jak tam dziś jest — na to odpowiedzi nie ma!

Otrys.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 30-go listopada 1432 pobicie Rusi pod Moruchową. — 1808 Polacy zdobywają Somo-Sierra.

Dnia 1-go grudnia 1201 śmierć Bolesława Wysokiego. — 1306 Władysław Łokietek od całego narodu królem uznany. — 1384 konfederacya jeneralna w Radomsku. — 1825 śmierć cara Aleksandra.

Dnia 2-go grudnia 1413 połączony sejm Korony i Litwy w Horodle. — 1830 poselstwo polskie u Konstantego w Mokotowie.

Dnia 3-go grudnia 1582 ustanowienie biskupstwa inflanckiego. — 1664 otwarcie sejmu pod laską H. Małachowskiego. — 1800 Polacy w bitwie pod Hohenlinden. — 1830 Moskale ze wszystkiem opuszczają Warszawę.

Dnia 4-go grudnia 1422 śmierć Mikołaja Trąby, arcybiskupa gnieźnieńskiego. — 1583 organizacya Inflant. — 1653 bitwa z Kozakami pod Zwańcem. — 1783 pożegnanie Kościuszki z Waszyngtonem.

Dnia 5-go grudnia 1677 sejm potwierdza ugodę Żórawińską. — 1830 Chłopicki bierze dyktaturę.

Dnia 6-go grudnia 1450 Kazimierz Jagiellończyk godzi poróżnione stany.— 1661 zniesienie Moskwy pod Gołębiem. — 1831 utworzenie w Paryżu pierwszego Komitetu polskiego.

Humor i satyra.

Zakład.

Rozum z głupotą
Założył się o to:
Kto rychlej wśród ludzi
Sympatyę obudzi?
Więc rozum wnet grosze
Zaczął zbierać w kosze,
A głupota głupia
Pieniędzy nie skupia,
Wydając jak hrabia
Wszystko, co zarabia,
I dziś przy niej chwała,
Bo zakład wygrała.

* * *

W teatrze prowincyonalnym potrzebowano do jakiejś sztuki niedźwiedzia. Młody chłopak przyjął tę rolę na siebie i zaraz go też obszyto w skórę niedźwiedzią. Gdy wszedł na scenę, w kilka minut ujrzał błyskawicę a następnie usłyszał grzmoty i pioruny. Chłopak nieprzygotowany do takiej kanonady, do tego stopnia stracił przytomność, że wspiąwszy się na tylne łapy, przednią się przeżegnał i drapnął za kulisy.

* * *

Straszny zawód.

Walenty: Taki lotnik, to ci dopiero musi mało jadać, coby był letki jak ptaszek!

Mikołaj: A juści, chyba żyje tylko prosem i konopiami.

* * *

Nauczyciel w szkole wykłada o rybach.

— Dlaczego ryby nie wydają głosu? — pyta jednego z uczni i nie otrzymuje odpowiedzi.

Maciuś podnosi dwa palce.

— No, Maciuś, gadaj!

— A pan profesor, jakby wlazł pod wodę, toby mógł mówić?

* * *

Ślepe naboje.

Podoficer: Giorczak! ty podły synu, przecież ty zamykasz oczy przy celowaniu!

Giorczak: Dyć, pan kaprol wczoraj mówili, co dzisiok będziema ślepo strzelali.

* * *

Nieczyste sumienie.

Do jednej z podejrzanych nocnych kawiarni przychodzi jakiś obcy człowiek, który zamawia kolacyę i flaszkę wina.

Gdy skosztował znakomitego trunku, dzwoni na kelnera i pyta:

— Czy nie mógłbym prosić na chwilkę o kodeks karny? Zaraz zwrócę.

Kelner odszedł, po chwili zjawił się, lecz bez kodeksu, natomiast w towarzystwie gospodarza.

— Przepraszam pana dobrodzieja! — rzekł tenże. — Kodeksem karnym służyć nie mogę, ale i bez tego odmienię to wino bezinteresownie!

Zagadka.

Nadesłała czytelniczka „Pracy“ p. Stanisława Piszczygłowa z Wągrówca.

Pierwsza jest rzeką, dość daleko płynie;
Druga to gwaru pewne przytłumienie.
Rzecz **trzecia czwarta** wabi nas ku sobie;
Służy nam nieraz ku pięknej ozdobie.
Piątą niechętnie wtenczas usłyszymy,
Gdy kogoś o coś serdecznie prosimy.
Całość zwykle sami sobie wyrabiamy;
O jak nam żyć miło, gdy ją posiadamy.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 4-go grudnia włącznie.

Poźniej nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższej zagadki.

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej przesyłali rozwiązania zagadek **tylko na pocztówkach.**

Rozwiązanie zagadki z nr. 46-go:

Wykopaliska.

Trafne rozwiązanie nadesłali:

Z POZNANIA: pp. Zofia Rakowska, N. Górski, Wanda Malinowska, Wł. Malawski, członek opery teatru polskiego, Bukowianka, Maryla Ulatowska, Napoleon Siemiątkowski.

Z PROWINCYI: pp. Bronisław Sikorski z Pleszewa, M. Miłkowski z Ostrowa, Stanisława Piszczygłowa z Wągrówca (nadesłała rozwiązanie wierszowane), P. Wichrzycka z Grabowa, St. Rosemann z Książa, M. Sławski z Wielichowa, Helena Żmidzińska ze Skalmierzyc, Alojzy Henke i Wiktor Błaszczyński z Czarnkowa, Jan Kaja z Rzadkowa pod Piłą, Jan Zając z Rudniczyska pod Doruchowem, Konstancya Kolańczyk z Kowalewa, J. Narowska z Zieminia, Henryk Nagler z Tadeuszowa, J. Kopczyński z Gołuchowa, M. Kaysiewiczówna z Rzegocina.

Z PRUS ZACHODNICH: pp. Jan Litwiński z Brzuszc, Bolesław Delewski z Dąbrówki, St. Janowski z Morzeszczyna, Paweł Raasch z Kamienicy.

Z GÓRNEGO ŚLĄSkA: pp. Wiktor Polak z Szarleja, Fr. Olejniczak z Lignicy, Helena Bągorska z Opola, A. Sikorski z Szopienic.

Ze ŚLĄSKA AUSTRYACKIEGO: p. Halszka Malinowska z Jabłonkowa.

Z GALICYI: pp. Hipolit Wodecki z Ropczyc, Mieczysław Hojdys z Wadowic, Gizela Ochenduszkowa z Liska.

Z OBCZYZNY: pp. Wł. Bernaciak z Berlina, H. Kubowicz z Buer, Jan Grzankowski z Osterfeldu.

Nagrodę otrzymali: pp. Wł. Malawski z Poznania, Stanisława Piszczygłowa z Wągrówca, Helena Bągorska z Opola, Wł. Bernaciak z Berlina.

Nasz kącik.

Wierszyk do wypowiedzenia na zakończenie teatrzyku: Świąteczne poobiedzie.

Nie pięknie sztuczka wypadła może,
Lecz widzi trud nasz Dzieciątko Boże
I wie, co nami powodowało,
Ażeby zebrać sumkę choć małą...
Proszę o grosik! — Serce mi puka,
Och, jak potrzebna nam jest nauka,
Jak duszę, umysł słońcem oświeci,
To rozumiemy nawet my, dzieci.
Więc wy, o Państwo, wy, duzi tacy,
Co pojmujecie potrzebę pracy,
Wy nie odmówcie, gdy szczerze proszę
Na naukową pomoc o grosze;
To dla braciszków naszych ze świata...
Myśl ku obczyźnie kędyś ulata
Do tych, co żyją wśród obcych sami
I może chleb swój zlewają łzami?
Ach, niechże wiedzą ci bracia nasi,
Że nic miłości naszej nie zgasi,
Że każdy w myśli do nich się garnie
I grosz pomocy niesie ofiarnie.
Dajcie więc grosik, proszę nieśmiało,
Byleby dużo ich się zebrało,
W świat je poślemy: — O, bracia, macie
Na cel wasz, na Świętojózafacie!
Uczcie się, uczcie, wiedzcie za młodu,
Że wyście cząstką Polski narodu,
Niech nic tej nici nigdy nie przetnie,
Zdala od kraju żyjcie szlachetnie.
Ojców swych mowy szanujcie dźwięki,
Stare zwyczaje, polskie piosenki,
Brońcie praw swoich, dłoń w dłoni, razem,
Bądźcie wśród obcych Polski obrazem!“
Hen, po przez lasy, pola i rzeki,
Głos ten popłynie tam, w świat daleki,
Lecz wpierw was błagam z schyloną głową
O grosz na pomoc tę naukową!

P. W.

* * *

Odpowiedzi i parę słówek.

Różyczka czy Mimoza? Berlin. Czekam, moja miła, na wiadomość, który z pseudonimów sobie obrałaś, gdyż pragnę z kolei umieścić twą podobiznę. Liścik ogromnie mnie ucieszył. Rezedka. Wilmersdorf. Napisz mi kiedy, kochanie, czy jesteś jedynaczką, czy też masz siostrzyczkę, lub braciszka. Lilijka. Berlin. Jak bardzo mi was żal, że tyle musicie znosić prześladowań, tego nawet wypowiedzieć nie umiem, ale Pan Bóg jest sprawiedliwy, pamięta każdy zły czyn i każdą łzę nim wyciśniętą! Wierszyk, który mi przysłałaś, bardzo mnie ucieszył i wierzę słowom twym, gdy piszesz: „I już zawsze do ostatka będę Polskę mą kochała.“ Mysia i Anielka Skąpskie. Gąsawa. Jakże to ślicznie, że i wy, moje małe, przyłączacie się do obdarzenia biednych i robicie dla nich pończochy! Bozia wam zato błogosławić będzie. Bodajby was dużo dziewczynek naśladowało! Cieszę się, że książka tyle wam radości sprawiła. Biały Orzeł. Golina. Dziękuję za dowód pamięci, mój młody przyjacielu, życzę powodzenia w pracy, a dotrzymaj obietnicy i w wolnych chwilach ucz się i kształć nadal! Skowronki. Berlin. Więc nie zapomnieliście o mnie? Bardzo się cieszę! Mój najstarszy Skowronku, zawód, który ci Rodzice obrali, podoba mi się, a jeszcze więcej cieszy mnie to, iż uprawiasz go z umiłowaniem i ochotą, niechże ci Pan Bóg dalej pomaga! Pisze się i mówi: jestem, a nie jezdę, spamiętaj to koniecznie! Drugi Skowronek mnie zmartwił. O, jak to smutno, gdy w głowie młodego Polaka: „Pustka i same głupstwa“, ale ty się poprawisz, prawda? Najmłodsza ptaszyna ślicznie pisze, tylko jeden błąd: nie fortypion, tylko fortepian. Romek L. Strzelno. Cieszę się, iż zyskałam tak zdolnego chłopczyka i że znam cię już teraz z opisu. Czy nie byłoby z pewnych względów lepiej, abyś obrał sobie jaki pseudonim? Wypracowanie bardzo dobre. Kazio i Romek W. Rawicz. I wy również, dobrzy chłopcy, obierzcie sobie jakieś nazwiska, zastępujące zwykle w „Kąciku“ prawdziwe nazwisko. Ucieszyłam się, że i wy zdobyliście się na wcale niezłe wypracowania, nadesłane z pod Drezna od St. M. i M. Kl. również odebrałam i dla utrwalenia wszystkim w pamięci raz jeszcze przypominam, że nagrodę otrzymają we dwa tygodnie po wydrukowaniu ostatniej, szóstej zagadki t y l k o c i, którzy stosownie do wieku i możności w s z y s t k i e wypracowania napiszą. Gwiazdka zbliża się, dobrym, pracowitym, pilnym dzieciom, wolno mieć życzenia, które Rodzice, o ile ich stać na to, chętnie spełniają. Polskie dzieci powinny najgoręcej pragnąć książek, które im serca rozjaśnią i umysł oświecą. Więc dla maleńkich siostrzyczek i braciszków życzcie sobie elementarzy, aby, korzystając z zimowych wieczorów, zabrać się do nauki ojczystej, nim sześciolatki do szkoły uczęszczać zaczną. To wasz obowiązek, starsze dzieci, i spełniać go trzeba koniecznie! Które z was, starsi, nie posiada jeszcze: Historyi polskiej, powinno gorąco życzyć jej sobie na Gwiazdkę, a po za tem, wszystkim potrzebna jest też książka, opowiadająca o naszych sławnych ludziach, poetach i uczonych, literatura polska. Już za 30 fen. można dostać J. Chociszewskiego: „Najgłówniejsze wiadomości z piśmiennictwa polskiego i tegoż samego autora równie tanią „Historyę Polską“. Więc, dzieci, bądźcie rozsądne, nie pragnijcie podarków kosztownych, przechodzących możność waszych Rodziców, im przykro wam odmawiać, więc z ostatniego nieraz się ciągną, by wam radość uczynić. Pragnijcie książki, o której tu wspominam, przy jej pomocy będziecie mogli rozwiązać zagadki, obecnie w „Kąciku“ umieszczone. Przypominam wam, dzieci drogie, że koszulki, szaliki, pończoszki i zabawki dla biednej dziatwy należy przesyłać pod moim adresem najpóźniej do 10. 12. 13., a ja wam później zdam sprawę, jak niemi rozporządziłam. Donoszę wam również, dziecinki, że kolorowy papier do wyrabiania ozdób chojenkowych należy kupować t y l k o w polskich składach papieru, lub w „Żniczu“. Tym dzieciom, które odgrywają teatrzyk, przypominam także nasze stare przysłowie, że „milczenie jest złotem“ i „jest to cnota nad cnotami trzymać język za zębami“, i jeszcze jedno: „nie powiadaj nikomu, co się dzieje w domu“. Więc cicho i grzecznie po próbie rozchodzić się, lepiej koniec języka zagryść, niż mówić zbyt wiele, pamiętajcie o tem, dzieci! Całuję was w czółka, wasza wierna przyjaciółka

P. W.

* * *

Zosia przy pracy.

Siedzi Zosia jak przykuta
I robi szaliki,
Ani spojrzy z ponad druta
Na kotka figliki.
Kot zdziwiony szarpnął nitki,
Kłębek z kolan spada:
„Ach, zbytniku, Mruczku brzydki!“
Krzyknie Zosia blada.
Goni kotka, kłębek bierze
I związuje wełnę,
I zmartwiona bardzo szczerze,
Oczka ma łez pełne:
„Na bok, kotku i wy, pieski,
Bardzom dziś zajęta,
Mam mą pracą otrzeć łezki
Biedakom na święta!
Wy, zwierzątka, nic nie wiecie,
Uczyć więc was trzeba,
Że nam wkrótce Boże Dziecię
Narodzi się z nieba!
Ach, przyodziać zziębłą rzeszę
Należy koniecznie,
Przeto z pracą, gdy się spieszę,
Wy tu siedźcie grzecznie!“

P. W.

* * *

III Zagadka literacka.

Zrodzona w naszej dzielnicy, w maleńkiej mieścinie,
Lecz jego pamięć nigdy w narodzie nie zginie.
Przywdział suknią duchowną, wstąpił do zakonu
I pracował wytrwale aż do swego zgonu.
Gdy się modlisz nabożnie w święto i w niedzielę
I słyszysz Ewangelię czytaną w kościele,
Wiedz, że on ją tłómaczył, tem wsławił swe imię,
Gdyż pracę tę potwierdził Ojciec święty w Rzymie.
Siedział mąż ten uczony w skromnej celi mnicha,
A życie wypełniała mu wciąż praca cicha
I przetłómaczył dla nas pismo święte całe,
Gdzie o Bogu słyszycie i wy, dziatki małe.
Więc trzeba znać nazwisko tego męża, dzieci,
Modlić się: Niech ci Boża łaska w niebie świeci!
Wstaw się i ty za nami, uproś tam, u Boga,
By zyskała swe prawa nasza mowa droga!
Ty, któryś przetłomaczył święte, Boże księgi,
Módl się, niech mowa nasza wróci do potęgi,
Byśmy w niej się uczyli wielbić Stwórcę świata!
Niechże zna tego męża dom każdy i chata
I niechaj pisze pilny zastęp mej gromadki,
Piękne wypracowanie na tle tej zagadki!

P. W.

Maciej Łubieński.

ZŁUDA.

9) Powieść.

(Ciąg dalszy.)

Śnieżny gors koszuli i nieposzlakowany krój fraka, oraz starannie przystrzyżona broda, czyniły go bardzo jeszcze pociągającym, a rasowa dystynkcya w każdem poruszeniu zdradzała pana!..

W salonie tymczasem szeptano nazwisko Rojeckiego, znanego w Warszawie i kraju całym, i z ciekawością oglądano nowego gościa, który tak bezceremonialnie nie przedstawiał się dotąd nikomu i przywłaszczał sobie „narzeczoną".

Rojecki nic sobie z tego nie robił. Nie raczył nawet obejrzeć pięknych twarzyczek wpatrzonych w niego kobiet i pochylony z lekka ku Reni Uszańskiej, mówił dalej przyciszonym głosem:

Ależ pani, panno Regino! Na miłość Boga, czemu pani od nas tak wtedy wprost uciekła? Czy wie pani — puściliśmy się wtedy za panią w pogoń do Kijowa i mieliśmy już jechać za panią za granicę. Lecz Marjan się oparł. Opowiem to pani innym razem. Teraz pilno mi przystąpić do rzeczy. Cóżeś pani uczyniła! Przecież Maryan chciał już lada dzień oświadczyć się pani. Pani zdawała się być jemu również wzajemną. I... nagle!... Dotąd pojąć tego nie mogę! Lecz mniejsza już o przeszłość! Wszystko jeszcze naprawić będzie można... Niech pani skinie tylko, powie słówko jedno, a Maryan przyleci i rzuci się pani pod stopy, złoży fortunę i siebie!...

— Ależ, panie! Co pan mówi? — zawołała Renia żywo z rumieńcem oburzenia. — Czy pan wie, że jutro mój ślub?

— Wiem, i mój także.

— Pański?...

— Tak, żenię się z panną Wreng, siostrą żony mego dobrego przyjaciela Artura hr. Liwskiego. Ce sont des roturiers, a właściwie niemi byli, bo dziś już przez Artura weszli do towarzystwa. Sprzedaję się. Narzeczonej mej nie kocham wcale. A wie pani, dlaczego się żenię?... By ocalić Rodanów, mój majątek rodzinny. Od dziecka pokochałem to miejsce. Grożą mi, że pójdzie pod subhastacyę. Jestem zrujnowany. Panna Wreng bardzo bogata. Ocalę rodzinne gniazdo. To mi wystarczy, o resztę nie dbam wcale! Przytem będę całe życie panem, nie potrafiłbym już być biednym. Vogue la galère! Ślub mój jutro o szóstej u św. Krzyża.

— I mój także o tejże godzinie i w tymże kościele! — zawołała zdumiona Renia.

— Pewno w kaplicy. Mój przy wielkim ołtarzu. W takim razie w orszaku ślubnym zobaczy pani Maryana. Dziś przyjechał. Lecz tego nie będzie! Błagam panią, niech pani pod byle pozorem ślub odłoży. Niech pani zastanowi się, pomyśli rozsądnie. Odrzuca pani serce zacnego, szlachetnego człowieka. Odtrącając go, wykoleja go pani na całe życie. Ten człowiek z nikim już nigdy się nie ożeni. Ręczę pani za to słowem honoru. Gdy tymczasem z państwa byłaby nie wiem jak dobrana para. Zresztą zastanowić się chyba warto. Traktujmy rzecz praktycznie, życiowo, nie idealnie. Żyleński Maryan ma majątku blizko milion rubli. Byłaby pani wielką panią do końca życia, nie wyszłaby pani ze swej sfery... Tymczasem pan Noryński, narzeczony pani, nic nie ma. Wreszcie ne précisons....

— Panie Rojecki — dosyć! Ani słowa więcej — zawołała Renia przyciszonym głosem, lecz bardzo stanowczo. — Ten narzeczony, z którym dotąd nie raczyłeś się pan nawet poznać, jutro stanie się moim mężem. Kocham go tak bardzo, jak dotąd nie kochałam nikogo i w przyszłości kochać nie będę. Z panem Żyleńskim nie łączyło mnie nic po za znajomością światową. Nic zupełnie! — dodała Renia z przyciskiem. — Nie rozumiem wogóle ze srony pańskiej tych wszystkich wyrzutów i oburzeń! Miałabym nawet prawo śmiertelnie obrazić się na pana! — kończyła ze drżeniem w głosie. — Jeśli tego nie czynię, to tylko z powodu, iż pan, panie Rojecki, przez to, żeśmy się poznali w Olanówce, stanowi cząstkę drogiej mi, a niepowrotnej już przeszłości. Rozstaniemy się więc w zgodzie. A teraz przypuszczam, że zechce mi pan może rzucić choć jedno dobre słowo na przyszłą drogę życia... I... poznać tego, kogo wybrałam na męża duszą i sercem, a nie rachubą!...

Policzki Rojeckiego — na słowa ostatnie — rumieniec zabarwił, zepsuła niemi Renia może wszystko. Odparł twardo:

— Nie, pani. Słowa tego nie wypowiem. Byłoby ono z mej strony kłamstwem. Łamie pani życie memu najukochańszemu przyjacielowi, a sama się wykolejasz. Kiedyś wspomni pani moje sława i cofnie wyraz „rachuba", wyrzeczony przed chwilą. Miłość w chatce to efekt operowy i rozdział z bajki. Życie wymaga zgoła czego innego i za chwilę szału pokutować każe, mści się bez litości i drogo za to płacić trzeba męką i bólem! Lecz — dość o tem! Narzeczonemu pani nie przedstawiam się. Wybaczy mi pani, lecz nie zamyślam wogóle tego uczynić nikomu z obecnych tutaj. Całe to grono —, tu wskazał lekceważąco po salonie ruchem kolistym — nic a nic mnie nie obchodzi! Samego pana domu prawie nie znam. Przyszedłem tu tylko i wyłącznie dla pani, by ocalić ją i Maryana. Spotkała mnie porażka — żegnam panią!

Rojecki wstał i podał rękę Reni.

— Do widzenia! — przebaczam panu raz jeszcze w imię przyszłości...

Rojecki zmiękł na te słowa, spojrzał przychylniej, jaśniej i szepnął:

— Niech pani zawsze pamięta, iż we mnie posiada oddanego jej przyjaciela.

Mówiąc to Rojecki oddalił się spiesznie.

Ostatniem, bolesnem prawie spojrzeniem objęła go Renia.

— Czy to jutro rzeczywiścei będzie tak ciężkiem? Czyz on mówił prawdę? Czy nie był może istotnie wcieleniem i przepowiednią przyszłości? — myślała, drżąc wewnętrznie, z sercem zatrutem i żalem w duszy jednocześnie do tego

człowieka, co tak twardo złudzenia zdzierał jej z oczu, i to... w takiej chwili...

Lecz była wszak na wieczorze dziewiczym, w wigilię własnego ślubu. Trzeba było być mężną. Okoliczności dopomogły temu.

W tej chwili, gdy zatrzymywany usilnie przez mecenasa Rwąckiego, przeprowadzony zdziwionemi spojrzeniami gośćmi, wymykał się z salonu Edmund Rojecki, zabrzmiały nagle miękkie tony pieszczotliwego i popularnego walca.

Powstał ruch w salonie. Zawirowały pary i uniósł Renię szał tańca, wbrew jej woli i usposobieniu.

XIV.

Czarowny, oczekiwany od tak dawna dzień nastał. Wesoła, niefrasobliwa i nadziei pełna, rozpoczęła go złotoróżana jutrznia, dla innych codzienna, zwykła, dla Noryńskiego i Reni dziwnie odmienna i w życiu jedyna.

Jutro nowe, następne, miało już być dla nich erą inną, przełomem życia. I życie to, co kryło poza zagadkowym wualem przyszłości niejedną może dla nich przykrą niespodziankę, postanowiło dziś hojnie zapłacić, wynagrodzić im za wszystko.

Po szeregu słot i dni chłodnych wstał dzień jasny i pogodny, cudny dzień wczesnej polskiej jesieni, rozzłocony promieniami ciepłego słonka i symfonią barw w przyrodzie, otulony pieszczotą mgieł, dyszący świeżością chłodnego ranka.

Pogoda, większa jeszcze radość, żywsza niż w przyrodzie, gościła dnia tego w duszach Kazimierza i Reni. Opromieniała im ona nimbem wesela każdy drobiazg i najmniejszy epizod, który zdarzył się im w dniu tym, uwieczniając go w ten sposób, otaczając na życie całe urokiem ninezapomnianych chwil oczekiwania i przeczuć mającego nastąpić szczęścia.

Od kilku tygodni żyli już we śnie, a dzień dzisiejszy dopełnił miary.

Zmysły ich paliły się ogniem miłości bujnej, nieokiełznanej, zamkniętej w egoiźmie osobistych pożądań i pragnień, dusze śpiewały hymn wzajemnego samouwielbienia i roztwierały się do czekających ich wzruszeń, jak kwiaty spragnione ożywczego dotyku chłodzącej rosy.

— Kochać, kochać i kochać raz jeszcze! — oto był dziś krzyk ich duszy, jedyne pragnienie, cel życia jedyny i marzenie jedno.

Poza tem, czy istniało cośkolwiek?...

Może... Lecz w każdym razie stało to na drugiem, trzeciem miejscu, bo miłość wszechwładna, miłość pani i królowa, wyparła im z dusz i serc wszystko, co nie było jej państwem, co śmiałoby stanąć opornie i rzucić pyłek drobny na złocistosrebrzystą jej szatę, na kielichy uroczych jej kwiatów, co śmiałoby zagłuszyć zgrzytem melodyę niebiańską — chór Elfów miłosnych.

I życie w istocie było znów nad wyraz hojnem. Dawało im bowiem to, czem nie obdarzyło bynajmniej setek ludzi innych, tych wszystkich, których łączyły ze sobą dozgonne nici inne, niż ich nić promienna i jasna, których parły ku sobie: wyrachowanie, próżność, względy socyalne, materyalne i towarzyskie, lub wreszcie brutalna tylko namiętność i słomiany ogień przelotnych pożądań i pragnień, nie opromienionych szlachetniejszym wzlotem duszy, nie skąpanych w przezroczych, czystych krynicach miłości duchowej, a będących tylko chwilową życiową miłostką, opancerzoną sakramentem małżeństwa. I to, co los rzucił im w zamian za to wszystko, czego w życiu nigdy nie posiada, Renia i Noryński chłonęli w siebie z całym ogniem i zapałem młodości, z całą jej lekkomyślnością i wiarą ślepą w jutro...

Jednaka radość zatem zbudziła ich dnia tego, po nieprzespanej nocy, z powodu późnego dość powrotu z balu i marzeń o... jutrze.

Z taką samą dziecięcą niemal uciechą powitali oni ten dzień i tak samo w ciągu godzin, oddzielających ich od upragnionej chwili ślubu, cieszyli się z każdego szczegółu i szczególiku życia, z każdej błahostki i każdego spojrzenia, uśmiechu, zdania, z innych i ze siebie.

Wśród gorączkowych ostatecznych przygotowań, wśród żywych utarczek, zdań, śmiechu i wesela, jak złudny sen przeszły godziny...

Na placyku przed kościołem św. Krzyża, obok dawnego pałacyku Staszyca, roiło się od karet. Do kościoła zjeżdżał się tłumnie hig-lif stołeczny na ślub Edmunda Rojeckiego z panną Wreng.

Cicho zajechały trzy karety, wioząc Worynę, Renię, drużbów, druchny i pana młodego. Cicho również wsunął się do kaplicy Matki Boskiej szczupły orszak weselny i stanął u ołtarza.

Niebawem, daleko poza nimi, na krańcu obszernej świątyni, rozbrzmiał chór pierwszorzędnych artystów teatru i zagrzmiał Veni Creator.

Rojecki stawał u ołtarza.

Jednocześnie, bocznem wejściem, wszedł do kaplicy ksiądz, znajomy Noryńskiego, kolega jego ze szkólnej jeszcze ławy.

W pustej prawie kaplicy, bez gromadki nawet zwykłych ciekawskich, których pociągnął za sobą widok wystawnego arystokratycznego obrządku zaślubin, odbywać się począł w skupieniu, uroczyście i cicho, akt sakramentu, złączyć mający Kazimierza i Renię.

Tam, poza boczną, zamkniętą kratą kaplicy, za kotarą, kryjącą wielki ołtarz, w kościele, szeleściły jedwabie, szemrały jakieś głosy, huczały organy, to cichły z kolei i dolatywał aż tutaj głos kapłana mówcy. Tam łączyło dwoje ludzi, obojętnych sobie zupełnie, wyrachowanie ludzkie i cynizm, okryte wytworną szatą jak najlepszego wychowania i aureolą wyżyn towarzyskiego świata — tu, szły na wspólną drogę doli i niedoli dwa serca, dwie dusze proste, nie złożone, lecz szczere i czujące głęboko, łączyły się dwa światy — tamten, co szumiał i błyszczał poza tajemniczą kratą, i ten inny: świat pracy, świat jutra...

Miłość tutaj, tratując przesądy i kastowe różnice, skuwała nierozerwalnym węzłem potomka plebejuszów, nieszlachcica, z córką dawnych panów, noszących imię zapisane chlubnie na kartach dziejów Rzeczypospolitej.

Jednocześnie prawie skończyły się obie ceremonie zaślubin. Dwa orszaki zetknęły się u wejścia i otarły niemal o siebie.

Tamten butny, wytworny, lecz zimny i obojętny — przesuwał się majestatycznie przed oczyma ciekawej gawiedzi, ten drugi przeszedł niepostrzeżenie.

Skupienie jednak na twarzach uczestników, głębokie odczucie ważności chwili, i promieniejące oblicza oblubieńców, w pustce kościoła zostawiły, zda się, po sobie jakąś smugę świetlistą.

I znowu na trotuarze, u podnóża schodów kościelnych zetknęły się powtórnie ze sobą i zmieszały dwa ślubne orszaki.

Dwie panie z „wyższego świata" lornetować zaczęły ciekawie czekających na karetę państwa młodych.

— Regardez, comtesse, comme ils sont beaux! Deux Cherubins, par vrai?...

— Effectivement! — wycedziła druga, oglądając impertynencko od stóp do głowy zapatrzonych w siebie Renię i Kazimierza.

— Vous n'avez pas d'idée ma chére — ciągnęła dalej pierwsza w tym samym tonie — comme quelquefois tous ces deux sexes, de la seconde société — sont beux physiquement!

— Et — moralement! — zwolna dorzuciła tamta.

Renia spochmurniała bezwiednie słysząc te słowa i wspomniała rozmowę wczorajszą.

Rojeckiemu twierdząco odpowiadało już życie. Już oto dzisiaj nawet właściwa jej dotąd sfera ludzi zaliczała ją do tamtych, nie należących do świata, już dla nich była przedstawicielką bezimiennego tłumu.

Kareta ślubna zajeżdżała, mijając po drodze inny pojazd. Do powozu tego wskoczyło dwóch mężczyzn. Jeden z nich długiem, głębokiem spojrzeniem objął Renię i z wyrazem pewnego smutku i wielkiego uszanowania, w milczeniu odkrył przed nią głowę. Później zwrócił się w stronę rozmawiających pań i skłonił się grzecznie.

Przedstawicielki hig-lif'u spojrzały na siebie zdziwione i uważniej, a mniej już lekceważąco, z równą ciekawością spojrzały obie w twarz Reni. Ta jednak była już w karecie. Za nią znikł Noryński i pojazd ruszył z miejsca pędem, ścigany prawie przez widzów.

Szczególniej przez kobiety niezamężne i młode. Dla nich bowiem ślub każdy, widok śnieżno-białej szaty i wdzięcznego welona oblubienicy — to dziwne zwykle wstrząśnienie nerwów i wyobraźni.

Zazdrość — czasem — że nad tą wybraną spełnia się już przeznaczenie, bardzo często żal.

— Zakochani, szczęśliwi! — myślała niejedna z westchnieniem cichem i goniła wzrokiem pędzącą w stronę alei karetę.

Tymczasem powóz Noryńskich mijał spiesznie ulice. Wśród kwiatów powodzi kryły się wstydliwie cudna główka Reni i czoło pochylonego ku niej Kazimierza.

On szeptał żonie czułe słowa, obejmował dyskretnie ramieniem, tulił do siebie i pieścił. Czasem, na zakręcie drogi, gdy pustka alei uwalniała karetę od spojrzeń ciekawych, usta ich łączyły się w pocałunku serdecznym, namiętnym i długim.

I szczupłą przesrzeń śnieżno-białej od kwiecia karety wypełniał wtedy jakby niewidzialny rój cherubów, krył się niby kwiat lilipuci za liśćmi paproci, w kielicach róż i lilij i patrzył — podziwiał swe dzeło.

Miłość czuwała nad tem dwojgiem i sypała jej hojnie dary.

W jakieś strefy nieznane, po za świat, po za ludzi wyrywały się dusze Noryńskiego i Reni.

Dorodni przytem oboje, tem pięknem, które siłą jakby magnetyczną parło ich jeszcze bardziej ku sobie, silni młodością, co przypinała im skrzydła i rozpierała piersi, i dawała wiarę w jutro i unicestwiała przeszkody — zakochani, szczęśliwi, zapominali o wszystkiem, co nie było nimi, i dając unieść się chwili, byli od rzeczywistości tak dalecy, iż nie zdołali na razie wytłomaczyć sobie zatrzymania się nagłego karety, która stawała już u celu — przed domem zamieszkiwanym przez Worynów.

Przyjęcie ślubne, uczta, powinszowania i ludzie inni po za ich dwojgiem!...

Noryńscy ocknęli się wreszcie — u windy czekała ich już niespodzianka, malarski pomysł Woryny.

Lokajczyk, przybrany uroczyście, z białym pękiem kwiatów w butonierce, otworzył im drzwi szklanego pudła. Komnatka wyłożona była białą materyą, ukwiecona na biało, a z bladych pąków rożanych wił się napis: „Sercem witajcie!"

Na progu otwartych na ścieżaj drzwi skromnego mieszkania Worynów, przeistoczonego również ad hoc pomysłowością atrystyczną gospodarza, stał Woryna z żoną i gromadką gości, witając nowożeńców chlebem i solą.

W małym saloniku ustawiono stół, przybrany kwiatami. Czekała tu na nowożeńców uczta weselna, po której Noryńscy dziś jeszcze udawali się za miasto, do przygotowanego przez Kazimierza gniazdka w zaciszu wiejskiem.

Gromadka gości, z nowożeńcami na czele, zapełniła gwarem salonik, przekształcony przez Worynów na hallę, ubraną skramnie, lecz nader gustownie zielenią tylko i szeregiem przeznaczonych na wystawę obrazór Woryny.

Kilka rzeźb znanego rzeźbiarza Stalskiego, obecnego na przyjęciu, uzupełniało dekoracyę komnatki. Rzeźby te, w liczbie dziesięciu, wychylały się nader wdzięcznie z po za różnych krzewów i zieleni, a wespół z dziełami Woryny, stanowiły iście artystyczne tło do odbyć się mającej wieczerzy.

Ze względu na brak czasu rozpoczęto ją niezwłocznie. Goście byli nieliczni, ale dobrani...

A więc odnaleziony w ostatniej chwili daleki krewny Noryńskiego, pan radca Orowski, rzeźbiarz Stalski, pejzażysta Narwicki, przystojny, o marzącem spojrzeniu brunet, wielomówny, oczytany i piszący krytyki, portrecista Wrębski, wreszcie Worynowie z córkami i przyjaciel ich domowy, stary dziennikarz i literat, Lwicki.

Nie skrępowana etykietą, swobodna, wolna, iskrząca się dowcipem i szczerym humorem, potrącająca zlekka o sprawy społeczne, literackie, a głównie artystyczne, potoczyła się rozmowa, wśród dań, zmiatanych z prawdziwie artystycznym apetytem.

Znalazł się węgrzyn i miód staropolski i kosz zamrożonego szampana.

Worynowie gościnni, uprzejmi, pamiętali o wszystkiem, ugaszczali, jak mogli, on zaś z subtelnością artysty, urządził wszystko w ten sposób, że w istocie nowożeńcy zapomnieć mogli na razie, iż zarówno oni, jak i wszyscy goście, wyjąwszy Rwąckich, byli to wyrobnicy tylko życiowi, tembardziej nieszczęśliwi, że częstokroć tak lekkomyślni i nieopatrzni, żyjący zawsze dniem dzisiejszym, a nie myślący o jutrze.

Ze wszystkich tu obecnych nikt jednak dziś o tem nie myślał. I Noryńskim — w czasie swawolnej, wesołej rozmowy, wśród dzieł sztuki, piękna, zieleni i kwiatów, wśród szczęku szkła i przy perlącym się szampanie, zdawać się mogło, że życie bywa lekkiem, wesołem i na troski w niem nie ma miejsca, pomimo, że z kapitałów, dóbr i imion, nikt z tu obecnych wylegitymowaćby się nie mógł.

Wesoło było! Zapatrzeni w siebie, zakochani, Kazimierz z Renią, słuchali więcej, niż mówili, dziękując tylko od czasu do czasu za toasty, wygłaszane na ich cześć.

Rozpoczął je ciepłemi słowy gospodarz domu, po nim, z kolei, każdy dorzucił słów kilka, nawet małomówny pejzażysta Narwicki wydeklamował, aczkolwiek cudzy, lecz ładny wierszyk okolicznościowy.

Podtatusiały tylko przedstawiciel rodziny pana młodego, pan radca, zlekka podpity, palnął mówkę, nie mającą wiele sensu i składu, którą zamknął słowami:

„I jak każe zwyczaj stary,
Pijmy zdrowie młodej pary!"

Chrząknął przytem, zatoczył się niepostrzeżenie i usiadł nareszcie, trącony przez sąsiadów, którzy z humorem dali mu rzęsiste brawa i bisy.

Na zakończenie powstał z krzesła stary literat Lwicki i zadzwonił o kielich szampana. Słuchano go zwykle z uwagą, gdziekolwiek przemówił i teraz więc błyskawicznie uciszyło się wokoło stołu.

Wśród skupionego milczenia odezwał się w te słowa:

„Inne dla mnie własno niebo,
Inny w oczach moich świat,
Dla mnie kochać jest potrzebą,
Liczę dziś dwadzieścia lat!"

W wierszu tym, prostym a szczerym, rwało się niegdyś serce ludzkie do miłości ojców i dziadów naszych owiewało wówczas jeszcze tchnienie epoki romantyzmu a oni, dzieci tych czasów przebrzmiałych, sami serdeczni, wylani i w małżeństwie również szukali przedewszystkiem — serca!...

Dziś wieją prądy inne. Pokolenie najmłodsze, zarówno mężczyźni jak i kobiety, pokolenie stojące na progu dwudziestego stulecia, stawiają warunek ten częstokroć na ostatniem niemal miejscu. Przewyższają względy inne. Stopniowo i wytrwale rozum zwycięża uczucie, a ono, odepchnięte, usuwa się w cień pokonane...

I dlatego coraz rzadziej i rzadziej spotkać się zdarza obecnie parę małżeńską, wstępującą w życie z wezbraną uczuciem piersią!

Dziś jednak — wyjątkowo, bierzemy tu udział wszyscy w uroczystości zaślubin, mających podkład moralny, idealniejszy, lepszy! Bezinteresowna, czysta miłość, doprowadziła dzisiejszych nowożeńców do ołtarza, by połączyć ze sobą dozgonnie. Oby opromieniła im życie całe! Jak wiązankę kwiecia, na drogę przyszłą wspólnego pożycia — całem sercem rzucam młodej parze życzenie to serdeczne.

Niech przywiązanie ich wzajemne nie wyczerpie się nigdy! Przeciwnie, niech spotężnieje tylko w ich sercach, a kiedyś, za lat wiele, gdy włos siwy osrebrzy już skroń dzisiejszych państwa młodych, miejmy nadzieję tu wszyscy, iż oni, obejrzawszy się w życiu po za siebie, ujrzą tam tylko radość i wesele, a zadowoleni, szczęśliwi, rozpamiętując wówczas obecne chwile narzeczeństwa i ślubu, przy wspomnieniu młodości własnej, będą mogli z zapałem zawołać słowami śpiewaka z Ukrainy:

Święć się, święć się, wieku młody,
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty,
Ideale wiary, cnoty,
I miłości i swobody!..."

Zadźwięczały kielichy. Wszyscy tłumnie, porwani mową, winszowali nowożeńcom. Gdy ucichło wokoło stołu, powstał Noryński i w serdecznych wyrazach podziękował zebranym za życzenia, a Worynom za gościnność i serce, któremi otoczyli jego i Renię. Wreszcie wzniósł zdrowie gospodarzy i mecenasostwa Rwąckich. Uczta była skończona, powstawano od stołu, pojawiła się kawa i likiery. Państwo młodzi ulotnili się, czas naglił i należało już zmienić strój uroczysty na podróżne szaty.

Mecenasostwo Rwąccy, z córkami, pożegnali również towarzystwo, obiecując być na kolei i w saloniku pozostała tylko gromadka przyjaciół Woryny.

Rozpierzchli się wszyscy po pokoju i z ciekawością, jak na wystawie, oglądać zaczęli nowe rzeźby i obrazy, nie wszystkim jeszcze znane. Z po za girland i świerkowych zieleni i krzewów cieplarnianych, wdzięczniej jeszcze wychylały się teraz rzeźby i dzieła pendzla, zlekka zarumienione złotawokraśnym odblaskiem słonecznych promieni zachodu.

Pomiędzy artystami rozpoczęła się żywa dyskusya na temat rzeźb i obrazów. Woryna, Stalski i literat Lwicki, przyjaciel obu artystów, znający oddawna każdy szczegół rozwieszonych dzieł, pokazywali i objaśniali pozostałym.

Wrębski wydobył ołówek, czyniąc notatki do przyszłych krytyk w pismach. Żyłka artystyczna ogarnęła wszystkich. Woryna zaś i Stalski postanowili sobie w duszy skorzystać z okazyi, iż mają pod ręką krytyka, rzadkiego gościa w pracowniach. Wrębski bowiem oficyalnie tylko oglądał obrazy, już na wystawach i unikał stale wszelkich zaprosin.

Wszystkich ostatecznie porwało piękno, którem tchnęły dzieła sztuki, aczkolwiek nie wszystkich szlachetnie i szczerze.

Mający zwykle mało powodzenia wśród publiczności, lekceważony przez krytykę, zapoznany nieco, choć zdolny, pejzażysta Narwicki w milczeniu oglądał nagromadzone dzieła sztuki i gryzł się wewnętrznie, złorzeczył kolegom po fachu i wzbierał zawiścią i żółcią.

Wreszcie nie wytrzymał i zawołał, wskazując na duży krajobraz morski we Włoszech.

— Ależ, kolego, na Boga! Gdzieżeście widzieli na Adryatyku kolor wody tej barwy. Cudaka namalowaliście i chcecie dać na wystawę. Zastanówcie się i cofnijcie przynajmniej ten ckaz — popsuje wam inne...

Uśmiechnęli się wszyscy, znaną była bowiem żółciowa gorycz Narwickiego.

Wrębski jednak odparł sucho:

— Myli się pan kochany. Kto wie, czy obraz ten właśnie nie zwróci uwagi bajecznym wprost kolorytem! Patrz pan, jak naturalnie mienią się fale, jak piana na nich odcina się subtelnie, perli i srebrzy. A ten odblask łagodny jutrzni dalekiej, zamglonej i niepewnej.. Do djabła! Wyrodnieje u pana poczucie piękna, czy co, że pan tego nie widzi, a raczej zobaczyć nie chce! — zakończył złośliwie Wrębski i zaczął pilnie zapisywać coś w notatniku.

Narwicki spojrzał z pod oka. Chęć do dyskusyi, obrzucenia zjadliwemi przycinkami Woryny i jego dzieł wrzała w nim, przemocą wyrywała się na usta, siłą woli tylko powstrzymywał się. Znał na wylot Wrębskiego i wiedział z góry iż czem więcej znęcać się będzie nad obrazem, tembardziej tamten reagować zacznie, a w rezultacie gotów jeszcze temu właśnie krajobrazowi morskiemu całe szpalty poświęcić w dziennikach. Zagryzł więc wargi i umilkł.

Lwicki skorzystał z przerwy i dopiwszy kawy i likieru, rzekł cichym głosem:

— Doprawdy, iż was młodych nie rozumiem. Po co się gryźć? Służycie przecie jednej, a tak bardzo szlachetnej idei piękna. I poniewieracie ją! Wstydźcie się. Myśmy dawniej byli inni. Każdy piął się w górę, wzwyż. Jeden jednak drugiemu nie przeszkadzał nigdy w promiennej drodze ku ideałom.

— Ależ, panie Lwicki! Cóż znowu? — zawołał na to oburzony pejzażysta. — Mówisz pan chyba pod cudzym adresem. Co do mnie, ani myślałem nigdy szkodzić nikomu. Każdemu jednak wolno wypowiedzieć co myśli i zdanie swe wyjawić całkiem szczerze i bez konwencyonalnych obsłonek.

Lwicki nic nie odrzekł i uśmiechnąwszy się tylko, wypuszczać zaczął powolnie regularne kółka dymu.

Natomiast Woryna i Stalski, pilnujący malarza-krytyka, wypuścili go wreszcie z opieki. Wrębski zamknął notes, schował ołówek i zbliżyli się wszyscy do rozmawiających. Woryna odezwał się pierwszy:

— Zastrzegam się z góry, że nie mówię ad personam. Przyznaję racyę koledze Narwickiemu, że każdemu wolno mieć własne niezależne zdanie — uśmiechnął się nieznacznie i ciągnął dalej. — Lecz, mój kochany Edwardzie — tu zwrócił się już wprost do Lwickiego — muszę ci powiedzieć ot tak prosto z mostu — Paniedzieju, bajdy prawisz. A to mówię ci ex re tych tam młodych i starych. Mylisz się, mój drogi i to grubo, a raczej rozpłynęły ci się wspomnienia lub prawdę podeptać chcesz i wyjawić nie pragniesz. Jak świat światem, było jest i będzie tak samo. Straszną, skalistą i cierniową jest droga, wiodąca do rozgłosu, uznania i sławy. Zawistnych nigdy nie brak. I to nie gołosłownych krytyków, lecz tych gorszych jeszcze, co potrafią postarać się o nieprzychylną dla ciebie wzmiankę, co zamkną ci podstępnie wejście na wystawę, co odbiorą ci model, co oczernią po za oczami, a tak mądrze i przebiegle, że nie domyślisz się nawet kto, co, jak?...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dramat na ul. św. Anny.

Powieść.

9) **Przekład G. P.**

(Ciąg dalszy).

— Nie wiem o niczem, i zrobiłam tę uwagę jedynie, widząc zgroźną postawę pana.

— Eh co tam, szkoda czasu na te wykręty! zawołał. Miałem interes do Clairac'a właśnie w tej sprawie, daj mi więc pani adres jego, a resztę sam załatwię.

— Nie mam adresu, więc go dać nie mogę, — rzekła stanowczo, zdecydowana raczej umrzeć, niż zdradzić zaufanie męża. Spodziewała się, że Vancroix wybuchnie znów gwałtownie, lecz on rzekł hamując się: — Posłuchaj pani, mógłbym uśmiercić cię w tej chwili i nie zdążyłabyś nawet wołać o pomoc, lecz brutalem nie jestem. Sądzisz pani, że działasz w interesie męża, ale rzecz ma się przeciwnie. Wiadomem ci dobrze, że dokonaliśmy razem z Clairac'em operacyi niebezpiecznej, która poszczęściła się tylko częściowo. Każdy z nas zdobył kilkadziesiąt luidorów, to była jednakże taka drobnostka, że co do mnie pozbyłem jej się już doszczętnie i nie mam ani szeląga w kieszeni, liczę więc na to, że Clairac wyratuje mnie z tej matni, tem więcej, że dosyć mam już Paryża i chciałbym się ulotnić, ale potrzeba mi do tego pieniędzy. Gdyby się miał wzbraniać udzielić mi pomocy wytłomaczyłbym mu, że mógłbym łatwo jako żebrak dostać się w ręce policyi, co byłoby gorzej dla nas obydwóch. Daj mi pani jakie dziesięć luidorów, a pójdę zaraz.

Alicyi sprawiło to pewną ulgę, że chodziło tu głównie o kwestyę pieniężną, ale zkąd wziąć dziesięć luidorów, gdy miała przy sobie już tylko kilkadziesiąt franków chowanych starannie na potrzeby najgwałtowniejsze. Niemniej podbiegła natychmiast do starego biurka po ojcu i podając mu 30 franków rzekła: — Oto wszystko co posiadam, proszę, weźmij je pan.

— Drwisz pani, czy co? rzucił gniewnie, odpychając pieniądze, — to tyle co goła kość psu rzucona, niepodobna, abyć nie miała kilkudziesięciu luidorów i jeżeli ich nie dostanę, przysięgam, że potłukę i podruzgocę tu wszystko.

Pomimo niezwykłej energii, biedna kobieta drżała na całem ciele, a przed oczyma jej stanęła ponura scena uduszenia dwóch staruszek w Neuilly, bezwiednie też zbliżyła się do okna chcąc wołać o pomoc, lecz nagle stanęła jak wryta wydając okrzyk głuchy.

Naprzeciwko domu, na trotuarze stało dwóch mężczyzn obserwujących uważnie kamienicę i odrazu poznała w jednym z nich detektywa Lacoura.

— Policya, — szepnęła głosem bezdźwięcznym zwracając się do Vancroix'a. Tenże podszedł do okna zakląwszy strasznie. Młoda kobieta podniosła spiesznie porzucone na ziemię franki i wciskając je w dłoń Vancroix'a: — bierz pan, — rzekła, — przysięgam, że skoro mąż mój wróci dostaniesz więcej, a teraz uchódź czemprędzej!....

— Uchodzić! łatwo to mówić, lecz jeżeli te łotry ścigać mnie będą... widocznie przyszli tu za mną, choć jednego z nich wyleczyłem już na zawsze z natręctwa.

— Posłuchaj pan, dam panu radę, na górnem piętrze znajduje się okienko, którem łatwo dostać się można na sąsiednie dachy....

— Dziękuję bardzo, niżeli kark skręcić wolę już pięściami powalić tych drabów. — Włożył pieniądze do kieszeni. — Ale to zapewniam, że schwytany, czy nie, sam pokutować nie myślę! Mąż pani drwi sobie z nas obojga, lecz niech nie sądzi, że ujdzie mu to bezkarnie, bo jeżeli pójdę na szubienicę, postaram się o to, aby mieć towarzysza.

— Mówię panu, że odpowiadam za wszystko — rzekła Alicya, przejęta niewymowną trwogą — tylko uchódź pan coprędzej i nie pozwól się pochwycić, czy ma pan broń jaką?

— Broń ta wystarczy! — rzucił Vancroix, pokazując dwie swoje pięści olbrzymie i wyszedł na korytarz.

— Wszystko spokojnie, idź pan, idź prędko — mówiła Alicya, pochylając się przez poręcz schodów, lecz wtem usłyszawszy zbliżające się kroki, schwyciła go szybko za ramię, szepcąc:

— Już zapóźno! chodź pan za mną i uciekaj przez górne piętra, wskażę panu drogę!

Vancroix zdziwiony, nie opierał się długo i biegł za Alicyą na górę. Lecz równocześnie pędził za nimi, wściekły, przemokły i obryzgany błotem nie kto inny, jak Davidot, który słyszał był ostatnie słowa młodej kobiety.

Detektyw dzięki temu, że umiał pływać, wydostał się szczęśliwie z rzeki, i wracając do domu, aby się przebrać, spotkał na schodach zbrodniarza, poznając go natychmiast Nie spuszczał go już teraz z oka i biegł jak szalony za nim, gdy Alicya, przypadłszy pierwsza do małego okienka na trzeciem piętrze, wychodzącego na dachy, posunęła ku niemu Vancroixa, wołając:

— Uciekaj pan tędy!

Tenże cofnął się przerażony, lecz równocześnie ukazała się już głowa Davidota, więc młoda kobieta zrozpaczona, dobyjawąc sił ostatnich, drobną dłonią, która w tej chwili miała moc żelaza, popchnęła opryszka w otwarte okienko, poza którem zniknął też niebawem.

Zamknęła okno; obok niej stał Davidot, usiłując się wydostać w ślad za zbrodniarzem, lecz ona, zasłaniając swem ciałem otwór, broniła przejścia. Detektyw po krótkiem mocowaniu się usunął ją i już stanął na gzymsie, wtedy ona złamana, na wpół przytomna, krzyknęła w najwyższej rozpaczy:

— Zmiłuj się pan, nie aresztuj go!

Po chwili Davidot, który już był wyszedł na dach, wrócił i schwyciwszy ją mocno za rękę, wlókł poniekąd za sobą

po schodach na dół, tu wepchnąwszy Alicyę niemal przemocą do jej mieszkania, syknął jej nad uchem:

— Mąż pani jest także jednym z morderców z Neuilly. Byłem głupi, a pani drwiła sobie zemnie. Mąż jej był bratankiem hrabiny Versannes i wydziedziczony przez nią, naprzód już chciał zabrać część sobie należną. Pani znałaś pielęgnarkę Benoit i dzięki jej wkradłaś się do domu z obydwoma mordercami...

— Nie, o nie... — jęczała Alicya.

— Zaprzeczasz pani-... Przed chwilą i mnie chciano zgładzić ze świata; ten podły łotr Laverdiere, czy Vancroix, jak się teraz zowie, wepchnął mnie do Sekwany, ale właściwie wdzięczny powinienem mu być za to, bo zrządzenie losu czasem rzeczywiście bywa cudowne! Umiejąc pływać, dotarłem do brzegu i wtedy wpadło mi wprost w ręce jakieś zawiniątko. A wie pani, co to było?... to była suknia jej, ta suknia z udartym wolantem, którą miałaś w dniu morderstwa i w niej zachowane znalazłem skradzione luidory! Pani sądziłaś, że się ocalisz, ułatwiając ucieczkę zbrodniarzowi, lecz to właśnie zgubiło cię do reszty. Pojmuję teraz, czemu wyrażałaś się z taką pogardą o szpiclach, no, przyznaję, jestem takim szpiclem, co ściga zbrodniarzy, a pochwyciwszy ich, trzyma ich już mocno.

— Pójdziesz pani teraz ze mną — mówił dalej, pastwiąc się nad tą kobietą, która, jak sądził, igrała z nim haniebnie — a co się tyczy innych, Clairac'a mianowicie, uwięzienie go jest tylko kwestyą kilku godzin.

Alicya słyszała wszystko. Gaston więc był zgubiony i to poniekąd przez nią, zdradziła go i wydała!

Przeszła się kilka razy po pokoju, jakoby chcąc odzyskać równowagę i postanowienie, zbliżyła się ku drzwiom, potem w mgnieniu oka, zanim detektyw się opamiętał, otworzyła je nagle, wpadła bez namysłu do pokoju matki Davidota i rzucając się jej na szyję, wołała:

— Pani! on chce zabić mego męża, tak, jak zabił twego syna, o ratuj mniej ratuj Gastona!

Davidot pospieszył za nią, chcąc ją pochwycić, matka jednakże objąwszy ramionami młodą kobietę, rzekła głosem stanowczym:

— Zakazuję ci zbliżać się do niej, słyszysz, przeklęty!...

— Matko! — odparł syn, pobladłszy strasznie. — Mąż tej kobiety jest mordercą, a ona jego wspólniczką!

— O nie, nie! on kłamie, przysięgam pani, że kłamie. Wiesz przecie, że gdy nienawidzi kogo, oskarża go i zabija!

— Podła gadzino! — rzucił Davidot.

Czemu jednakże stał nieporuszony, czemu nie pochwycił jej, gdy potrzebował tylko rękę wyciągnąć, aby ją wywlec z pokoju? Bo pomiędzy nim a tą kobietą spoczywała ręka matki, którą byłby musiał odepchnąć, a nie śmiał użyć przemocy wobec staruszki.

Stał, nie wiedząc co począć, niepodobna przecież było pozwolić ujść tej zbrodniarce, bo dość go już korciło, że nie mógł ścigać Vancroix'a, rzekł więc w końcu stanowczo:

— Droga matko, jesteś uczciwą kobietą i słusznie brzydzisz się zbrodnią, błagam cię więc, nie mieszaj się do tej sprawy.

Alicya tymczasem nic niemówiła, lecz wpiła błagalnie żrenice swe pełne lęku w oczy staruszki i wyraz twarzy jej znaczył więcej niż słowa.

Odsuwając młodą kobietę, rzekła pani Davidot łagodnie, skinąwszy na syna:

— Zbliż się, Danielu, podejdź tu blizko do mnie.

Powiedziała to głosem słodkim, tak, jak matka przemawia do ukochanego dziecięcia, głosem, którego nie słyszał już dawno, dawno! A kiedy ukląkł przy jej łóżku, kazała mu przysiądz, że nie był winien śmierci brata, a teraz ostatecznie uwierzy. Pierwszy raz usta jej wyrzekły to oskarżenie straszne i Davidot czuł, jak wielki ciężar spada mu z serca. Odpowiedział też szczerze, starając się dowieść swej niewinności.

Ona jednakże wstrząsnęła niedowierzając głową.

— Jakąż przysięgę mam ci złożyć, że nie popełniłem tej zbrodni?

— Jeżeli mam ci uwierzyć, to okaż, że nie wszystko poświęcasz dla tego tak zwanego obowiązku, gdyż inaczej pomyślę, że uważałeś sobie także za obowiązek zdradzić i zgubić zbrata! Daj mi dowód, a wrócę ci całą moją miłość macierzyńską.

I mówiąc to, przycisnęła usta do czoła syna. On wzruszony tulił się do niej jak dziecię, całując białe włosy staruszki.

— Ocalisz tę biedną kobietę, ocalisz jej męża, nieprawdaż? — szeptała mu do ucha.

Zadrżał, a więc żądano od niego, aby zdradzał?... Cała uczciwość jego duszy wzdrygnęła się, a matka czując tę walkę, mówiła dalej:

— Daj im dwadzieścia cztery godzin czasu, a tymczasem zostaniesz przy mnie i będziesz mnie pieścił i pielęgnował.

— Niech się stanie twa wola, matko, — rzekł przyciszonym głosem.

Alicya stała nieporuszona na uboczu, wiedziała, że w tej godzinie ważą się losy męża, którego kochała nad wszystko.

Davidot podniósł się.

— Dobrze więc, uwalniam panią na dwadzieścia cztery godzin, odszukaj swego męża, wiesz zapewne tak, jak i ja, gdzie przebywa; to dosyć czasu, aby zniknął, przyobiecałem i dotrzymam słowa.

— O dzięki ci, panie! — zawołała Alicya. — Wierz mi, pani, mąż mój nie popełnił tej zbrodni, tak samo, jak i ja!....

Davidot wstrząsnął się.

— Idź pani raczej — rzucił szorstko.

— Bądź zdrowa, droga pani! — rzekła staruszka, wciskając jej nieznacznie w rękę sakiewkę z pieniędzmi, które miała pod poduszką.

Młoda kobieta nie śmiała odmówić jej, pamiętając, że ostatnie kilkadziesiąt franków dała Vancroixowi.

Davidot stał przy oknie, odwrócony plecami, wstyd palił mu czoło, że pierwszy raz w życiu zaniedbał obowiązku, westchnął ciężko, był więc istotnie zdrajcą!

Następnie podszedł do łóżka chorej, pytając raz jeszcze:

— Czy wierzysz mi teraz, matko?

Oczy jej zwróciły się na portret zgasłego syna, jakby błagając go o przebaczenie za kłamstwo, które wyrzec miała.

— Tak, wierzę ci! — odparła niemniej uroczyście.

ROZDZIAŁ XI.

Pomimo spóźnionej pory, wybrała się Alicya niezwłocznie do Valenton, miejscowości, oddalonej o kilka mil od Paryża, dokąd Gaston polecił jej wysyłać listy poste restante; miała bowiem nadzieję, że znajdzie go tamże i skłoni do wyjazdu za granicę. Zobaczyć go było obecnie jedynem jej pragnieniem, jedynym celem jej życia; on był dla niej gwiazdą przewodnią, przyszłością i szczęściem całem. Tam, dokądby się udał i ona podążyć za nim chciała. Nigdy chyba nie czuła tak, jak w tej chwili, jakim węzłem nierozerwalnym złączoną z nim była i nie wzdrygnęła się nawet przyznać sama przed sobą, iż stała się poniekąd wspólniczką jego zbrodni, bo oskarżać go i potępiać nie miała siły...

Spodziewała się odszukać męża, stanąwszy rano w Valenton i następnie wyjechać z nim gdzieś dalej, pewną będąc, że Davidot, ze względu na matkę, nie zdradzi ich, a we Francyi dosyć było miejscowości ustronnych i nieznanych, gdzie spokojnie zamieszkać będą mogli.

(Dokończenie nastąpi.)